

Przeglądnik dla Kobiet

PISMO

BELLETRYSTYCZNE I NAUKOWE.

WYCHODZI W POZNANIU CO DRUGĄ SOBOTĘ.

Rok I.

— Poznań, 28 maja 1881. —

Nr. 18.

W Poznaniu prenumerować można tylko w redakcyi, Długa ulica 8. Oplata kwartalna wynosi 3 marki, półroczna 6 mrk., roczna 12 mrk. z dostawieniem egz. do mieszkania. Na prowincyi, w Prusach Zach., oraz w całym państwie pruskiem i w Niemczech prenumeratę kwartalną przyjmuje każda poczta, roczną lub półroczną tylko sama redakcyja: kwartalna wynosi 3 m. 50 f., półroczna 7 m., roczna 14 m. z przesłaniem egz. na miejsce.

Przedpłata dla Galicyi wynosi rocznie 8 zlr., półrocznie 4 zlr., ćwierćrocznie 2 zlr., za co się przesła franko. Zapisywać można albo wprost w redakcyi, albo w księgarniach: S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie i w Księgarni Polskiej we Lwowie. Inseraty przyjmują się w redakcyi za opłatą 30 f. od wiersza dwuliterowego.

LISTY Z ZAGRANICY J. I. KRASZEWSKIEGO.

Ktokolwiek podróżował po Anglii, Szwecyi, zwiedzał niektóre Włoch zakątki, uderzony być musiał wielką ilością najciekawszych starożytności zabytków, które się w nich zachowały.

Zamki arystokracji angielskiej równie są zajmujące pod tym względem, jak chaty szwedzkich wieśniaków.

Widome niejako, węzły łączą w ten sposób z przeszłością; tradycje przylegają do tych wątków na pozór dzieł pracy i ducha ludzkiego. Jakże to miło szablę diadowską, krośna babki mieć przed sobą!!

W Niemczech trzydziestoletnia wojna, potem inne zaburzenia i walki wiele drogich pamiątek zniszczyły; we Francyi rewolucya opustoszyła zamki i wymiotła nawet grobowce kościołów, na których dziś, odarte z ozdób, choć zrestaurowane ściany, bez bólu spojrzeć niepodobna.

Dziś może, równie jak dawniej rewolucyjne rabunki, ogołaca skutecznie domy i świątynie z zabytków przeszłości spekulacya jednych, a drugich fantazyja, ubiegająca się za osobliwościami.

Antykwareusze z Londynu i Paryża odbywają podróże, nawet już i do nas zaglądając, kusząc dobrą zapłatą za to, co nieopłaconemby być powinno.

Czas więc może powiedzieć o tem słowo, ostrzedz i skłonić rodziny nasze, aby to, co im przeszłość przekazała, troskliwie zachowywały.

Wprawdzie drogi i piękny sprzęt, postawiony w muzeum takim, jak norymberskie, lub monachijskie, ma znaczenie pewne, zbliżony do innych tegoż rodzaju, dozwala wniosek jakiś wyciągnąć, lecz — cóż zastąpi tę drogą pamiątkę niejedną łąz cichą oblaną, — tego niemego świadka żywota ojców, tam, gdzie on jak relikwia poszanowanym być powinien?

Zaden może kraj pod względem zachowywania szczątków swej przeszłości nie był w mniej korzystnych warunkach postawiony, nad naszą nieszczęśliwą ziemię.

Odzierali ją Połowcy, Tatarowie, a potem z prawa wojny wszyscy, co wtargnąć mogli i łupić bezkarnie.

To, co się dostało za czasów Jana Kazimierza do Szwecyi, cudem uratowane jest dla nas, bo Szwedzi nasze pamiątki poszanowali, zachowali, a dziś one ocalone są przynajmniej dla badaczy przeszłości. Wiele z nich powróciło do naszych zbiorów i muzeów.

Inny los spotkał to, co nad Don i Wołgę zawędrowało, lecz nie mówmy lepiej o tem. Są dziś archiwa całe, złożone z dziejów naszych, do których my przystępu nie mamy, są pomniki sztuki, które świętokradzka ręka poprzerała, nadając im znaczenie nowe i przyswajając je sobie.

Oprócz łupieży sam organizm naszego społeczeństwa, które ani majoratów, ni ordynacyi nie znosiło, przyczynił się wielce do zaguby i rozproszenia zabytków przeszłości. Dzielono się do nieskończoności majątnościami, ruchomością, uszczuplały się mienia i zubożały potomek wielkiej rodziny nawet ryngraf z Matką boską częstochowską — jeżeli miał wartość jaką — sprzedawać musiał.

Z pamiątek Paska i Zawiszy wiemy o tem, a i nasza własna pamięć sięga tych czasów, gdy zwyczajem było miłego gościa nie wypuszczać z domu, nie obdarzwszy gościncem jakimś. Szły na to częstokroć i starożytne rzędy i szable i pozłociste puhary. Pozostałości po przodkach porozpraszały się tak po szerokim świecie.

Nadzwyczaj też dziś mało jest domów, gdzieby staro coś znaleźć można, — to, co jest, najczęściej na nowo zdobyte gdzieś, wykupione zostało.

Jakże to nago wygląda dom, jak mówi o świeżo wyrosłej rodzinie, gdzie żadnej dawnych czasów pamiątki nie widać?

Nikomui właściwiej czuwać nad tem, nikomu łatwiej strzedz domowego skarbu — jak pani domu, jak kobiecie. Jest też to ich powołaniem i obowiązkiem. Dla tego odzywamy się do pań naszych, aby — rozmiłowały się w starych gratach i nie poświęcały ich bezmyślnej, zimnej modzie.

Dla człowieka myślącego prosty stółek dawnego kształtu, którego pomysł stary jest, jak Polska, więcej wart, niż najwykwintniejsze, rzeźbione krzesło.

Po strychach u nas, po śpichrach i skarbcach leży połamanego sprzętu wiele, któryby oceniony i poszanowany, miał wysoką wartość... Była chwila w życiu naszego narodu, za Sasów i Stanisława Augusta, gdy gorączka zbytku i naśladowania mód zagranicznych objęła nas i wszystko stare z domów powyrzucała na folwarki i strychy... Wiele rzeczy tamby się jeszcze odszukać dało.

Była to chwila, gdy Us. S.... w K.... całą biblio-

tekę najcenniejszą, odwieczną, precz kazał wynieść, aby w jej miejscu Russa, Mably, Raynal'a i Voltaire'a pomieścić, któremu w swej bibliotece Stanisław August posąg wzniośł, z pamiętnym, niedorzecznym podpisem...

Zrzucano wówczas tak samo żupany i kontusze, a przywdziewano fraki...

Królowi zdawało się, był w dobrej wierze, iż naród cywilizuje, że go z barbarzyństwa wyprowadza; tymczasem francuził go tylko i osłabiał, bo zrywał nić tradycji odwiecznych dla wszczęcia wątpliwych zdobyć ducha XVIII wieku.

Szczęściem, po wsiach ani frak się łatwo aklimatyzował, ani nowości smakowały. Lecz przyszły najazdy, wojny, podziały, przechody wojsk, godziny niedostatku, częsta potrzeba okupu — i znaczniejsza część tego, co się przechowało, poszła na cztery wiatry.

Jakkolwiek niewiele nam może pozostało, jednak nie ma wątpliwości, że po starych, szlacheckich dworach i dworach wiele jest jeszcze. Dziś na to polują antykwarjusze, nie wywłaszczają się lekkomyślnie...

Każdego obowiązkiem jest zbierać i ocalać — grzeszy każdy, co rozprasza i pozbywa się.

Czytając stare inwentarze, rejestra wypraw panieńskich, testamenta, jaki to żal ogarnia, iż wszystko znikło bezpowrotnie, a niejeden szacowny dawnością, formą, wyrobem klejnot bez litości na nową modę został przerobiony w Paryżu, lub Wiedniu.

Z mnogich rzędów na konie, które miewał każdy niemal szlachcic, ledwie się gdzieś, coś uchowało. Był zwyczaj noszenia łyżek za pasem, a napisy na nich, które i Rej komponował, są nadzwyczaj ciekawe, często dowcipne; z tych łyżek nie wiem, czy po naszych wszystkich zbiorach parę tuzinów uratowano.

Natomiast przemysłni spekulanci, gdy moda przyszła zbierania starych rzeczy, nafałszowali nam sztuców z herbami polskimi, talerzy, trąbek, bered bez liku... Szczęściem, fałszerstwo dla biegłego oka zawsze się czemś zdradza... lecz ileż to takich fałszyfikatów, aż do szabel — poprzęłano!

Jakie u nas skarby artystyczne jeszcze w XVII wieku się znajdowały, o tem świadczą stare inwentarze i opisy Polski.

Ostatni skarbiec polski, królewski — zniknął z Krakowa, wiemy w jakim czasie i przez kogo tajemniczo pochwycony...

Gobeliny Zygmunta Augusta w części nad Newę, w części gdzieindziej powędrowały.

Tylko w tych rodzinach, którym udało się ordynacy utrzymać i stałe gniazda założyć — znaczniejsza część zabytków potrafiła się przechować do dni dzisiejszych.

Przeciwko tej instytucji majoratów, wydziedziczającej pozornie młodszych dla starszego brata, ze stanowiska radykalizmu wiele mówiono i pisano. Tymczasem miała ona błogie skutki, nie tylko jako siła zachowawcza, ale jako pobudka dla młodszych do pracy, do szukania sobie powołania, do starania się o własnych siłach wyrobienia przyszłości... Kraj zyskiwał wykształconych ludzi, którzy próżnować nie mogli, bo wyposażenie ich było szczupłe, a imię obowiązujące.

W epokach przełomu i upadku narodu, gdy idzie o zachowanie związku z przeszłością, najlepiej się czuje wartość wszystkiego, co było żywiołem spójnym i miało siłę oporu. Lecz, u nas — nie ostała się ordynacja Ostrogska, a — wiemy, co się z Radziwiłłowską stało, co z innymi.

Mimowolnie dalekośmy zabiegli od starych sprzętów do instytucji, lecz wszystko się z sobą wiąże i trzyma.

Dla tego drobnymi rzeczami i małymi faktami pogardzać, lekceważyć się ich nie godzi. Na oko złomek jaki drzewa, kawałek kruszcu, łachman tkaniny, wartość ma bardzo małą, lub żadną, ale któż wie, co za siła mieszka w tej relikwii, jaka z niej myśl strzelić kiedyś może, co spowite śpi w tym szczątku?

W tej chwili i moda sprzyja temu, co ja popieram, wszyscy zbierają stare zabytki, wszyscy gromadzą muzea,

żaden dom pański bez jakiejs kolekcji, żaden wykształcony człowiek bez jakiejs fantazy się nie obchodzi. Jeden Rotschild zbiera rzeźby z kości słoniowej, drugi tydzień temu otworzył galerię obrazów, zgromadzonych przez siebie małych rzeźb i starych szkieł weneckich.

Lecz — nie o to nam idzie, abyśmy namawiali panie nasze do zajmowania się tworzeniem małych muzeów — niech tylko pamiątkom rodziny rozpraszać się nie dają i panom mężom nie dopuszczają psuć ich, lub pomiatać nimi, niech ocala dla synów i córek, co jeszcze jest do ocalenia...

Z tego starego sprzętu, gdy się serdecznie weń wpa-trzą, wionie duch, co w nim mieszka zakłęty... Wszystko ma mowę swoją i jak ten kamień, co go człowiek długo na piersi nosił (o którym śpiewa Mickiewicz), coś z życia naszego w siebie bierze, coś z tego życia oddać może...

Nie ma niemego świadka przeszłości dla tych, co mówę jego zrozumieć zechcą i czarem serca ją wywołać.

Teraźniejszość jest piękną często, przyszłość może być ponętną, lecz tam, gdzie one na podstawie przeszłości nie leżą — jakże smutne, jak niepewne...

Żyć w tych przepysznych lasach amerykańskich, których nigdy stopa ludzka nie dotknęła, gdzie nie ma ani grobu, ani wspomnienia, — na to potrzeba siły potężnej i jakiegoś celu wielkiego, coby dobrowolne sieroctwo osłodził.

SMUTNEMU.

Czemuś smutny? powiedz mi!
Czemu łaża Twe oko ćmi?
Wszak Ci się uśmiecha życie,
Tuli się do Ciebie dziecię,
Ta pociecha w każdej doli,
Balsam na wszystko, co boli.

Czemuś smutny? powiedz mi!
Za czem pierś tęsknotą drży?
Czy za szczęścia złotą czarą,
Czy za sławy zwodną marą,
Czy za ziemi Twej swobodą
Żal Ci pierś rozrywa młodą?

Czemuś smutny? powiedz mi!
Co na dnie Twej duszy tkwi?
Czy cień marzeń nieziszczonych,
Czy blask wspomnień utajonych,
Czy perła zastygłej łzy?
Czemuś smutny? — powiedz mi!

Warszawa, 1881.

Jaskółka.

Towarzystwo Przyjaciół dzieci w Warszawie.

(Ciąg dalszy.)

Zdaje mi się, iż powyższe, aczkolwiek nader pobieżne, streszczenie projektowanej ustawy, wskazuje już dostatecznie, jak szerokie, jak ważne ma ono zadania. Nie dziw zatem, że myśl jego wywołała razem z uznaniem i liczne wątpliwości, krytyki i napaści. Muszę przytoczyć owe rozmaite, przynajmniej najcelniejsze zarzuty, bo odparcie ich będzie zarazem wyjaśnieniem bliższem celów towarzystwa, pobudek i motywów jego ustawy, oraz wytłomaczeniem racji bytu i potrzeby podobnej instytucji. Otóż, w obec licznych dróg, jakimi towarzystwo cele swe i zadanie ziścić zamierza, przede wszystkim wystąpiono przeciwko samej nazwie: „Towarzystwa przyjaciół dzieci.“ Zarzucano, że jak z § 2 wnosićby wypadało, projektowane Towarzystwo ma się zająć nie tylko dziećmi przeróżnych kategorii, ale nadto ubogimi ich matkami, a nawet rodzi-

cami i w ogóle osobami, którym piecza dzieci bywa powierzana. Obok tego nazwa towarzystwa „przyjaciół dzieci” jest za ciasną i istotnym jego celem nieodpowiednią. Dalej powstano, że zadania Towarzystwa są zbyt rozległe, że dawać mu podobne granice nader jest niebezpiecznym, że zagraża to wkraczaniem w sfery rodzinnego życia, w stosunki między majstrów i terminatorów, nauczycieli i uczniów, które, jak zwłaszcza pierwsze, powinny w wielu razach zostać niedostępnymi i nietykalnymi, jeżeli się nie chce wywołać nieznosnej tyranii i interwencji najszkodliwszej i najniebezpieczniejszej dla karności społecznej. Dalej jeszcze zauważono: iż wiele z celów projektowanego Towarzystwa spełnia się i ziszcza już przez inne instytucje i stowarzyszenia jak: ochronki, żłobki, przytulki, Towarzystwo dobroczynności, domy położnicze i szpitale dzieciinne, projektowany dom podrzutków, osady rolne i t. p., że zatem może stąd wyniknąć: albo zamieszanie, albo niepotrzebne rozproszenie sił i celów, które raczej skoncentrować tam wypadało, gdzie one wytkniętymi już zostały i gdzie, chociaż może mniej energicznie, zawsze jednak działają i funkcjonują. Nakoniec powstawano zwłaszcza na redakcyjnym § 1, uważając go za ogólnik, mianowicie też w ostatnim jego ustępie. Nie podobało się najbardziej wyrażenie: „obudzanie poczucia obowiązków macierzyństwa;” pytano, dla czego nie „rodzicielstwa” i złączono z tym zarzutem inny, a mianowicie: iż redaktorowie ustawy zbyt widocznie mieli na uwadze i zanadto troskali się o kobiety upadłe, azatem stokroć mniej zasługujące na współczucie i opiekę, niż kobiety zacne i prawe; że proponując pomoc brzemieniom, bez roztrząsania winy, bez szukania źródła tego stanu ubogich kobiet, otwierano szerokie i niebezpieczne, bo ponętne drogi występku, nadużyciom i niemoralności. Te i tym podobne zarzuty zdradzają, obok płytkości sądu, zupełne niepojmowanie zadań i celów Towarzystwa. Najpierw co do samej nazwy Towarzystwa, to lubo zakłada ono sobie rozciągnięcie opieki nad matkami, rodzicami ubogimi i w ogóle osobami, którym piecza i nadzór nad dziećmi powierzane bywają, — to przecież, o tyle jedynie, o ile za pośrednictwem takiej opieki przyjdzie z pomocą dzieciom; jest to zatem wpływ jego zawsze i przeważnie na dzieci, to tylko, że w pewnych razach, że nie może on się inaczej wywierać, jak pośrednio. Ostatnim celem jego zabiegów będzie zawsze i w każdym razie: dziecko, tylko raz przyjdzie doń ono wprost, kiedyindziej zaś, że tak powiem, kołując; wspomóż je, przyjdzie mu ze wsparciem i opieką przez drugą wprawdzie, najbliższą wszakże dla niego rękę, bo jego matki, czy ojca. Przekonamy się niżej, iż są położenia, w których pomoc dziecku inaczej nawet okazana byćby nie mogła, chyba że trzeba je oderwać od matki, wyłaczyć z przyrodzonego, rodzinnego koła, czego, jako w najwyższym stopniu niemoralnego, niebezpiecznego, a stąd i niemożliwego, Towarzystwo nigdy spełnićby nie mogło i nie chciało. Bliższe i bezstronne zresztą rozejrzenie się w drogach, jakimi projektowane Towarzystwo cele swe i zadania przeprowadzić i urzeczywistnić zamierza, doprowadzić musi każdego do przekonania, że w istocie na ostatecznym, głównym planie są dzieci, że nigdzie ich ustawa nie spuszcza z oka, że wszystko, co stanowi, to jedynie dla ich dobra i korzyści, że zatem Towarzystwo zupełne ma prawo przyjąć nazwę „Towarzystwa przyjaciół dzieci.”

W pierwotnej redakcji artykułu Igo chciano postawić na czele zdanie, tak jak to wiele podobnych zagranicznych czyni ustaw: iż najpierwszym zadaniem Towarzystwa jest: podniesienie godności macierzyństwa; żeby jednak wstępny artykuł ustawy odpowiadał ściślej nazwie Towarzystwa, właśnie przyjęto dzisiajszą jego redakcją, rozpoczynając od tego: „iż ma ono za cel przyczynić się do prawidłowego rozwoju młodych pokoleń,” t. j. właśnie do dzieci. Redaktorowie ustawy nie chcieli wszakże opuścić owej naczelnej zasady, uświęconej przez także same ustawy zagraniczne, wyrazili zatem dalej przeświadczenie: iż dojdzie się do tego „przeważnie przez obudzanie poczucia obowiązków macierzyństwa.” Niechaj nie mówią nam, iż po-

czucie to jest wrodzone, że w naszym zwłaszcza społeczeństwie jest ono żywe, gorące, nienaruszone, że więc rozbudzać go, podniecać i podtrzymywać nie potrzeba. Prawda, odmienne, wyjątkowo czasem korzystniejsze, nasze społeczne i ekonomiczne stosunki, nawet mniej rogałozony przemysł wpływają na to, iż matka u nas nie rozdziela się ze swoim dzieckiem, że cała rodzina żyje więcej skupiona, nie rozprasza się tak bardzo, że matka zostaje jej głównym ogniskiem, ześrodkowaniem jej życia. A przecież, czy wszystko jest już jak najlepiej, czy nie już do żądania i do poprawy nie pozostaje?

Przebiegniemy dla przekonania się o tem kolejno rozmaite przystanki macierzyństwa. Stopniowań, co prawda, przedstawia się tu bez liku, a jednak sądzę, iż na każdym z tych stopni znajdzie się jeszcze coś do poprawienia, że projektowane Towarzystwo dla każdego korzyść i pożytek przynieść może, jakkolwiek z pozoru wydaje się to niewątpliwie uderzającym, niemal nieprawdopodobnym. Otóż w pielgrzymce tej natrafiamy na owe niesłychane odcienia już co do możliwości majątkowej, już co do uzdolnienia umysłowego, już wreszcie co do samego nastroju moralnego.

Niezaprzeczoną jest rzeczą, że tam, gdzie wszystkie te trzy warunki spotykają się w całej pełni, tam macierzyństwo umie i może najszczytniej trudnym i wzniosłym swoim obowiązkiem uczynić zadość. Sam jeden, którykolwiek z dopiero co przytoczonych warunków, niełatwo sprosta zadaniom należytego dzieci wychowania. Najważniejszym jednakże jest ostatni z nich, bo niepokalana cnota matki cuda nieledwie w kole jej rodzinnem zdziałać jest mocna. Ona to otacza jakoby aureolą świętości ognisko swojej rodziny. Cnota matki, przy niższym nawet jej umysłem uzdolnieniu, nieledwie instynktowo toruje dzieciom swoim drogi, pomnaża gospodarność ubogie w domu środki, posiadane do ich wychowania i błogosławieństwem swoim jakoby nadziemską pomoc i opiekę na dom i rodzinę sprowadza. Gdzie matka pod względem moralnym tego wzniosłego nie zajmie stanowiska, tam rodzina rozpaść się i rozprzęgnać musi, bo spajającej i wiążącej siły nie zastąpią ani bogactwa, ani dostatki, ani umysłowe nawet wykształcenie. Ale z drugiej znowu strony i sama wartość moralna nie obędzie się bez umysłowego wykształcenia. Matka bowiem, która ma wskazać dziecku drogi życia, musi już dla tego samego stanąć na stopniu pewnego wykształcenia; musi umieć przelać posiadaną świadomość w młode umysły; musi umieć wsześcić cnotę w młodociane serca, musi rozumieć trudne i rozległe macierzyństwa obowiązki od pierwszej chwili onych rozpoczęcia. Instynkt, gorące przywiązanie, macierzyńska miłość, lubo silne, wrodzone to są potęgi, same jednak nie wystarczają; z bezwiednego, naturalnego stanu należy je podnieść do godności nauki, bo tu nawet za mało utartej rutyny i zapatrywania się na przykłady innych. Życie wartkim bieży potokiem, co było dobrem i wystarczającym w wychowaniu naszych przodków dla nas samych, niedostatecznym będzie dla naszych pokoleń przy zmianie społecznych, materialnych, możnaby powiedzieć, nawet politycznych stosunków. Żyjemy prędzej, gwałtowniej, odmiennie, niż dawniej, trzeba biec za wymogami czasu. Otóż pod temi wszystkimi względami ogólnie biorąc, racjonalna świadomość wychowywania dzieci wedle potrzeb chwili na bardzo niedostatecznym, niskim stoi punkcie, nie wyłączając nawet wyższych warstw społecznych, czego też ofiarą pada przedwcześnie mnóstwo dzieci nieraz nawet przed terminem prawidłowego urodzenia. Żaden kraj pod tym względem dokładnej nie posiada i posiadać nie może statystyki, bo ilość przedwczesnych ofiar nieogłędności, a czasem i występku nie zwykła być nigdzie należycie ujawnioną dla trudności, niemal niepodobieństwa należytej kontroli. Gdy zważymy wszelako, że śmiertelność urodzonych już dzieci do lat 5ciu stanowi około 50% (w Warszawie nawet 62,0%) ogólnej cyfry umarłych, to przyjdziemy do przekonania, jak dalece społeczeństwo ma prawo żądać od pieczołowitości matek, iżby ten przerażający wiadomy (powiadam wiadomy, właściwiej nazwałoby go może należało przybliżony) stosu-

nek śmiertelności przedwczesnych ofiar mógł ulec zmniejszeniu. Niemal tu procent znalazł przyczynę swoją wśród zamożnych w niewłaściwym nieraz ubraniu matki, w poszukiwaniu zabawy i w ogóle w nienależnym poszanowaniu stanu swojego fizycznego (u uboższych w nadmiernej pracy, lub ciężkich, szkodliwych i nieodpowiednich zajęciach), a dalej w braku dozoru żyjącej już dziatwy, w wydaleniu się od niej na odbyte dla przyjemności podróże (pomiędzy matkami dostatnimi) w zostawianiu dzieci bez dozoru (pomiędzy ubogimi), a dalej (środe obu kategorii) w lekkomyślnym powierzaniu dzieci obcym, najemnym, bez wyboru osobom (co na nieszczęście częściej napotyka się w warstwach możniejszych, jak w średnich, lub ubogich, lubo i w tych wiadome są nadużycia owych płatnych nianiek, co to upajają szalejem, lub wódką powierzane im niemowlęta, byle je uciszyć i uspokoić, gdy matka cały dzień zajęta w fabryce i. t. p. zostawi je bez piersi.) Ileż to dzieci we wszystkich społeczeństwach sferach wychowano tym sposobem na ludzi przez całe życie schorzałych i cierpiących w skutek niehygienicznego żywienia i nieprawidłowego starania o należyty rozwój sił fizycznych. Ileż dzieci wyrosło na niesfornych członków społeczeństwa w skutek braku karności w ich pierwotnym wychowaniu, ileż wybujało groźnych, trujących chwastów tam, gdzie zdrowe mogłyby wyrosnąć owoce. Ile to matek zamożnych i dostatnich zabija dzieci pieszczotkami, a uwzględnianiem ich kaprysów wychowuje potomstwo swoje na niezdolnych i szkodliwych członków społeczeństwa! Jeżeli tak jest jednak w klasach zamożniejszych i oświeconych, (jakie dotąd miałem na względzie, pomimo drobnych miejscami ustępów), to cóż się dzieć musi w warstwach uboższych i mniej wykształconych? Rzućmy dla pewności od razu na nie okiem, przyjrzyjmy się im w szybkim przebiegu chwileczkę jeszcze i nieco szczegółowiej.

Tu najczęściej spotykamy się z zupełną prostotą pojęć, którą wszelako w wielu razach poczucie obowiązków macierzyństwa zbawienne, lubo poniekąd tylko, zastępuje. Otwiera się tutaj dopiero szerokie pole do działalności towarzyszenia przyjaciół dzieci. Jeżeli bowiem na rodziców zamożnych i oświeconych może ono działać jedynie pośrednio, oświecająco przez swoje pisma i rozprawy, jeżeli wpływać na nich ma tylko możność za pomocą opinii publicznej, pomagać im odległymi wskazówkami, delikatnem nader wdaniem się przez rozciągnięcie opieki nad temi, na których rodzice władzę i prawa swoje czasowo z jakichbądź względów przeleją, to dla drugiej owej kategorii rodziców uboższych i mniej ukształconych, dla matki, najczęściej czytać nieumiejącej, lub niemogącej, rada taka, ogłoszona drukiem i pomoc odległa, pośrednia, na nic się nie przydadzą. Rada bo też choćby i w słowie żywym, jeśli nie poparta czynem, nie nakarmi głodnego, ani odzieje nagiego dziecięcia.

Tu potrzeba tedy materyjalnej pomocy i osobistej opieki członków Towarzystwa przyjaciół dzieci we wszystkich razach, gdzie matka, pomimo wszelkich wysiłków obojga rodziców, sprostać obowiązkowi swoim nie umie, lub nie może. Lecz żeby opieka ta była płodną i istotną przyniosła korzyść i pomoc, powinna sięgać odpowiednio daleko, być dosyć wczesną, uprzedzającą, słowem. Towarzystwo ma z nią spieszyć nie tylko, gdy dziecię się narodzi, ale uprzedzać przyjście jego na świat. Opieka też członków Towarzystwa sięgać winna aż do przynoszenia ulgi i pomocy ubogiej matce, gdy w ostatnich zwłaszcza tygodniach przed urodzeniem dziecięcia ciężkiej, a życiodajnej pracy poddać nie jest w stanie. Uroczysta chwila przyjścia na świat dziecięcia, o której to pismo święte tak pięknie się wyraża przez usta Zbawiciela, straszną jest dla matki, pozbawionej środków do życia, zwłaszcza, gdy nowonarodzone dziecię przybywa na świat w zimnem, nieopalonem podstryszu, wszelkich pozbawione wygód i możliwości zaspokojenia najniezbędniejszych tak dla niego, jak i jego rodzicielki, potrzeb życia. Czyż dziwić się można, iż dziecię w tych warunkach zrodzone, niedługim najczęściej cieszy się życiem? a jeżeli twarda natura te pierwsze

niewygody przetrzyma, to cóż się dzieć musi, gdy przyjdą na dziecię, w tych warunkach wzrastające, zwykle, niemal że nieodłączne choroby, które też niesłychaną moc ofiar zabierają!

(Dokończenie nastąpi.)

POWIEŚĆ O MINIONEM SZCZĘŚCIU.

Przez * * *

Gdyby długie lata życia były przede mną, nie chciałabym opisywać mojej historii, bo życie to złamane smutnym byłoby dla wielu przykładem, smutnym dowodem niemocy i słabości mojej. Ale koniec mój blizki, czuję wyraźnie, jak życie odbiega ode mnie, na nie lepszego sił już nie starczy, więc pragnę przedstawić ludziom obraz prawdziwego szczęścia na ziemi i obraz serca, którego boleść większą była od niego. A jednak serce to nie było małe i niedołęzne, umiało sobą ogarnąć wiele, kochać, litować się i cierpieć, gdy Bóg zesłał cierpienie.... tylko gdy grom w nie uderzył, ostać się nie mogło. Nie dziwcie się temu, są bóle, co takie zadają rany, że z nimi życie byłoby więcej, aniżeli męczeństwem i powolnem konaniem, byłoby życiem dawno umarłych, wtedy Bóg dobry zśła śmierć błogosławioną, a przeszłe cierpienie przyjmuje za pokutę. Z złamanem sercem żyć nam nie wolno i trzeba umrzeć, gdy się sił nie ma na dalsze kochanie, na dalszą pogodę umysłu i walkę na przemian. Ja wiem, że umrę; za kilka miesięcy, a może i tygodni już mnie tu nie będzie, więc niechaj pierwopowiem, jak byłam szczęśliwą, jak czułam to szczęście całą istotą moją, oddychałam pełnią jego, poilałam się tchnieniem samej szczęśliwości. Dzisiaj.... siedzę tu samotna, martwa prawie i dogorywająca, zdala nawet od miejsc, w których byłam szczęśliwą, z straszną próżnią w sercu i śmiercią. Złote i jasne sny młodości mojej! coście pieściły mię lubo, takie to wasze ziszczanie?... Dzisiaj twarz moja zorana zmarszczkami bólu, moje włosy, owe sławione, śliczne podobno blond włosy posiwiały całkiem. Przebóg! ja nie mam lat trzydziestu, a włosy mam siwe!... na świecie, mówią mi, wiosna uroczna, słowiki śpiewają — i woda pewnie w strumieniu szeleści, tam.... u podnóża góry.... ale ja tego nie widzę, nie słyszę, w mem sercu zima i chłód tak przejmujący, że wszelkie ciepło mogłabym ostudzić. Jakże ja niegdyś byłam czułą na wdzięki przyrodzenia! jak radowało mnie wszystko, jak rozumiałam muzykę natury! I cóż dziwnego, swoboda i szczęście były moimi mistrzami.

Ile serc bije w piersiach ludzi, tyle podobnych do siebie, a jednak różnych możnaby skreślić historii. Ciekawe byłyby to dzieje, bo serce człowieka to głębia trudna do zbadania, tysiące uczuć znajdują w niem miejsce; najsilniejsze, które zdają się opanowywać je całe, nie są jednak w stanie zatrzeć i zgładzić innych, także potężnych i drogie, czasami znów jedne gasną, a powstają drugie, albo różnorodne, sprzeczne z sobą zamieszkuje w niem równocześnie. Nauka poznawania i rozumienia serc ludzkich powinna też być częściej i dokładniej badana; ileżby wtedy odnalazło się zagubionej miłości bliźniego, ile miłosierdzia i wyrozumienia, ile sposobów niesienia pociechy, a dla samych siebie ileż byłoby pożytku! Łatwiej byłoby wtedy rozwiązać i zrozumieć niejedną życia zagadkę, łatwiej pojąć potęgę szczęścia i niedoli ziemskich, których wpływ tak silnie w życiu oddziałuje. Zwyczajne radości i zwyczajne cierpienia są rzeczą tak powszednią, że żadnej nie sprawiają w niem zmiany, lecz wielkie bóle, lub wielkie rozkosze wytwarzają w niem nieraz przewrót zupełny, na inne całkiem wprowadzają je drogi, w innych zamykają je warunkach.

Dzieje serca mego krótkie będą, jak moje życie — a dla tych tylko ciekawe, dla których, jak u mnie, były one podstawą całego istnienia, którzy przyznać gotowi, że niezawsze pomyślność, radość, dobre powodzenie i głowa od trosk swobodna mogą być szczęściem nazwane, a kłopoty i trudy ciągle ponoszone nie są jeszcze boleścią, gdy serce drzemie spokojnie i snem się słodkim kołysze.

I.

Lata dziecięce zbiegły mi szybko, jak cudny poranek dnia wiosennego, na łonie kochających, a drogich bardzo rodziców. Wioska nasza, Zagaje, leżała w przesłicznej karpackiej okolicy, gdzie z jednej strony był lasu kawałek, ciągnęły się daleko pola i łąki zielone, a poza nimi widniały góry wysokie, z drugiej zaś — znów za błoniami — kilka innych wiosek rozsiadło się półkolem, wreszcie nisko w dolinie spoczęło miasteczko, co tylko czerwone dachy swych domów ukazywało patrzącym. Za to wysoka wieża kościołka i krzyż na niej złożony sterczały nad wszystkim, niby drogowskaz widny na całą okolicę. Przez wieś naszą prowadził szeroki trakt bity, wysadzany drzewami, będący główną drogą na przestrzeń kilkomilową; stąd też i w dzień i w nocy ruch bardzo ożywiony panował u nas i nierzadko spotkać było można znajomych, albo z daleka jadących podróżnych. Mieszkalnemu domu naszego nie widziano z tej drogi, był bowiem cały zasłonięty zabudowaniami gospodarskimi i ukryty w ogrodzie. A ogród ten z jakiegobądź strony przedstawiał się malowniczo i zwracał uwagę nie tyle obszarem, co obfitością drzew dzikich i bystrym, szumiącym strumieniem, który go prawie wkoło, niby wstęgą opasywał. O! jakże ja lubiłam wybiegać co rano do tego ogrodu, jak lubiłam siadywać nad strumieniem i nie tęsknić, ale ciekawe i życia pełne oczy wysłać w dal, a snuć czarowne, rajske powieści!... Domek nasz nie był wielki, wygodny jednak i jakże miły! — a przed nim wśród kilku klombów bzu, róż i jaśminu urządzone rozkoszne, jakoby w altankach, siedzenia. Nie było zbyt wielu u moich rodziców: skromność, prostota we wszystkim, ale wszystkiego też w miarę i dziecię ich jedyne nie zaznało nigdy niedostatku. Kochana i pieszczona, jak ptaszę swobodna i wesoła, pod ich się skrzydłem chowałam. Najpierwszych nauk udzielała mi matka, ona umysł i duszę dziecka kształciła słowem, przykładem, miłością; później nauczycielem był mi ojciec i stara, kochana krewna nasza, nauczycielka z powołania. Rodzice moi wezwali ją umyślnie, gdyż była osobą złą, a wykształconą, aby ona dopełniła tego, czego może sami nie dopatrzeli, aby z doświadczeniem, nabytym pracą i boleścią, otwierała przed sercem młodego dziewczęcia różne życia prawdy i obowiązki. Przy niej także uczyłam się głównie muzyki i obcych języków, a kochałam ją bardzo i pierwszą, rzeczywistą boleść, jakiej doznałam, pierwsze łzy gorzko wylane były w dniu, gdy pocziwa, kochana Fela nasza od nas wyjeżdżała. Przez kilka dni nie śpiewałam wcale, nie śmiałam się nawet, a gdy chodziłam nad strumień ulubiony, z tęsknotą myślałam o tej, której nie było między nami i z pierwszym w sercu żalem do świata patrzyłam na jego piękne pola i drzewa, na drogi i ziemię dalekie, które mi zabrały matkę moją drugą. Uspokoiliam się dopiero wtedy, gdy mnie rodzice zapewnili, że kiedyś, gdy spełni zadanie, jakie miała przed sobą, gdy wypoczynku zapragnie, dobra Fela przyrzekła szukać go u nas i przy nas już zamieszkać na zawsze. Na zawsze!... jak nierozważne to słowo, któż bowiem za nie zaręczyć może? lecz ślepa wiara młodości nie zastanawia się nad tem, wszystko dla niej tak pewne i stałe, jak słońce, które świeci na niebie, jak uśmiech szczęścia na dziecka obliczu.

I dorastałam dalej — szczęśliwa, wesoła. Nie miałam nigdy przyjaciółki mojego wieku, matka była powiernicą i towarzyszką, najlepszą doradczynią i pieszczotą moją. Dni schodziły szybko, opromienione miłością, weselem — i ja myślałam, że inne, że większe nie istnieje już szczęście na ziemi. Bo i czegoż mi nie dostawało? rodzice byli mi wszystkim i nie byłabym pewnie przeżyła straty, gdyby Bóg wtenczas był mi ich zabrał. Tak byłam młodą i tak

nie jeszcze nie znałam z boleści. A jednak... później... przeżyłam ich przecie i patrzyłam na rzeczy tak okropne, że dzisiaj przed samem wspomnieniem zamykam oczy. Więcej nieraz serce znieść może, aniżeli się zdaje słabej odwadze naszej.

O! jakże mnie rodzice moi kochali! jakimi przemawiali do mnie wyrazy!... Drodzy, najlepsi rodzice! pod waszym dachem słodko mi było i błogo, dopóki do was należałam wyłącznie, nie znałam cierpienia, samo daliście mi szczęście, żaden obraz boleści i rozpacz nie przyćmiewa tam wspomnień, bo dom rodzicielski — to niebo w myślach dziecka.

Oprócz rodziców, kochali mnie i inni: domownicy, krewni, znajomi. Byłam niejako losu wybranką, każdy starał mi się przypodobać, każdy myśli moje zgadywał. W sąsiedztwie żadna zabawa nie udała się beze mnie, młodzież otaczała mnie chętnie, chwaliła moją urodę, wzrost wysmukły i dowcip wesoły, starsi lubili ze mną rozmawiać, matki pieściły i chciały mieć za przyjaciółkę swych córek, a panny tyle dawały dowodów szczerzej życzliwości, że starsze, czy młodsze, wszystkie uważałam za rówieennice, za siostry prawie. Dziwnie, nikt nie pomyślał, że mnie to zepsuć, w próżność podnieść mogło... I zaprawdę, nie zepsuło mnie też wcale; nie zepsuło serca, bo grunt był w niem dobry, grunt uprawiany starannie od kolebki, bo w duszy nie było egoizmu, a wiele, wiele miłości. Zdradliwą jest rzeczą tak same kwiaty sypać młodzieńczej osobie pod nogi, łatwo olśni się ich barwą i wonią upoi, a zapomni nieboga, że są na świecie i osty, co ranią i rośliny, co zabijają swoim zapachem. A jednak, któraż matka, która opiekunka tkliwa daje chętnie ukochanej istocie kosztować już za młodu kielicha gorczy, dla tego tylko, aby ją przyzwyczaić do tego, co los podać jej może w przyszłości? — „I tak pozna w życiu, co trud i boleść, niechaj cieszy się teraz“ mawiają zwykle troskliwi i drodzy stróże naszej młodości, a mało jest takich, którzyby powiedzieli: „Niech i do złego przywyknie“. Któż wreszcie rozstrzygnąć potrafi, gdzie prawda i słuszność po której stronie? Szczęście doprawdy tak bywa krótkie czasami i gdy odbiegnie, to już nie wraca, że nigdy go nie za wiele i błogosławiony, kto choćby najdłużej umie je zatrzymać.

A jednak... ja sądzę, że warto może chociaż z daleka pokazać dziecięciu ujemne strony życia i hartować młode dusze drobnymi szczęściami niedostatkami na przyszłe koleje.

Oprócz do sąsiadów, u których bywaliśmy często, mało wyjeżdżałam z moimi rodzicami: niegdyś, dzieckiem jeszcze będąc, byłam z nimi u wód morskich, później w Częstochowie, a dwa, lub trzy razy do roku udawaliśmy się do Krakowa. Każdą podróż taka była prawdziwą dla mnie rozkoszą: znałam i kochałam to miasto, lubowałam się szarami murami i gmachami jego, pamiętającemi czasy lepszej przeszłości naszej, rozpyływałam się w kościołach i wszelkich starych pamiątkach. Tam także widywałam zawsze Felę ukochaną, bywałam na wybornych przedstawieniach w teatrze, nieraz śpiew i muzykę dobrą słyszałam, a do domu przywoziłam z sobą zwykle kilka książek najświeższych, kwiatów i szczepów nowych do ogrodu, kilka cacek do przystrojenia mego pokoiku i zaopatrywałam się w różne przybory do robót ręcznych. Gdy była jaka większa zabawa w sąsiedztwie, lub u nas, droga matka starała się zawsze, aby jej pieszczotka, Marynia jej ukochana, wyglądała najlepiej i podobała się wszystkim. Najmilsze jednak godziny spędzałam w domu przy rozmowie z rodzicami, na wspólnych, dalekich przechadzkach w pole, przy głośnem czytaniu i robocie. Często także wśród dnia, albo o szarej godzinie siadałam do fortepianu, zagrałam co, lub zaśpiewałam, chociaż nie byłam biegłą artystką, a pobłażliwi słuchacze moi obsypywali mnie za to nie oklaskami, ale pieszczotą i uściśnieniem. Kończyłam już rok dwudziesty, a nikt nie dawał mi więcej nad lat siedmnaście; w wnetrzu mojem byłam zawsze dzieckiem, bo wychowanie nadało mi cechy dzieciom właściwe: byłam prostą i szczerą do zbytku niekiedy, swoboda panowała na czole, uśmiech i piosnka na ustach, a w sercu błogi pokój i wiosna.

W tym to czasie przybył w okolice naszą z zagranicy młody sąsiad, Pan Stanisław Sulima, aby objąć dziedziczną wieś swoją, Podgórze, sąsiadującą z nami najbliższą. Miała ona najwyższe położenie z wszystkich wsi naokoło, widać ją było od nas całkowicie, szczególnie stojąc w ogrodzie nad strumieniem. Lubiłam też patrzeć na nią, tak jakoś wesoło się przedstawiała, lubiłam zwłaszcza wielki, staroświecki jej dworek drewniany, na najwyższym punkcie stojący i dwie poważne, rozłożyste lipy, rosnące przed nim na dziedzińcu. Myślałam ja nieraz i o właścicielu tej wioski i tego dworku, bo ciągle słyszałam o nim, że sierota bez ojca i matki, że gdzieś w obcych krajach spędził młodość całą i wyobraźnią dziecięcą stroiłam go w szaty jakiegoś średnio-wiecznego rycerza, lub królewicza, o których tyle zajmujących czytałam powieści. Później, w dojrzałym umyśle dziewczęcia przedstawiał się już nie tak ponętnie: nie mogłam wprawdzie myśleć, że rozpustnik, który na przyjemności trwoni majątek rodzicielski, bo wiedziałam, że w wiosce, zostającej pod niedbałym zarządem opiekuna, gospodarstwo nie przynosiło wiele, a nic w niem nie rujnowano i nie niszczone dla dogodzenia fantazjom podróżującego panicza, szczupłe zaś dochody sam opiekun odbierał do ręki, ale sądziłam, że sąsiad nieznajomy jest już człowiekiem niemłodym i ciężko uczonym mółem książkowym. W okolicy nie znał go nikt, a nawet rodziców jego, którzy tylko lat kilka w tej okolicy mieszkali, pamiętano mało. Pan Stanisław Sulima miał rzeczywiście lat 32 i był sam na świecie. Wtedy nie wiedziałam o nim nic więcej, powiem jednak teraz to wszystko, o czym dowiedziałam się później z własnych ust jego. Jeżeli mnie wykarmiła miłość i wychowała opieka najtłkliwsza, on od dzieciństwa nie zaznał pieczy i serca. Rodzice odumarli go w niemowlęctwie, a że bliższej nie było rodziny, wziął sierotę jakiś wuj chciwy i skąpy, który sporo własnych mając dzieci, niewiele się troszczył o niego: zawsze obcy był w domu, ostatni i odrzucony. Zaledwie nieco podrośł, zaledwie czytać i pisać się nauczył, wysłano go w świat, do szkół. Tam, z nawyknięcia bojaźliwy, stronił od kolegów, w których życzliwość nie wierzył, a chociaż zdolny, lękał się nauczycieli, których kochać nie mógł; że jednak był z natury cichy, a uczynny, zostawiano go w spokoju, nie śmiano się z niego, nie szydzono, tylko wyrobił się między współtowarzyszami jakiś stosunek obojętny i sztywny. Jednego przecie znalazł przyjaciela i odtąd jaśniej zrobiło się w młodym umyśle, jaśniej w sercu i duszy. Była to przyjaźń, jakich mało, przyjaźń, odblask miłości mająca, serdeczna i tliwa. Wszystkie klasy przechodzili razem, razem byli na uniwersytecie, wakacje spędzając zwykle w większych miastach, lub na wędrowniach, jako turyści. Pracując wytrwale i znając niejedną gorycz życia, byli jednak szczęśliwi, marzyli słodko o lepszej przyszłości, o kraju, o tem, jak kiedyś w sąsiedztwie będą mieszkali, bo przyjaciel Stanisława miał być lekarzem i postanowił osiedlić się w miasteczku najbliższym ukochanego; marzyli i o tem, jak się pożenią, naturalnie, jeżeli znajdą odpowiedni wymarzonemu ideał, a wtedy ich dzieci muszą żyć także w przyjaźni, albo ściślejszemi jeszcze połączyć się węzły. Dotąd ideał się nie zjawiał, ale było im dobrze we dwóch, ręka w rękę, czy to wśród obcych, czy pośród znajomych. Lecz nagle śmierć nielitościwa, bo śmierć — niestety — będzie na porządku dziennym w moim opowiadaniu, zerwała tę świętą i czystą spójnię przyjaźni. Młody lekarz na parę dni właśnie przed ostatnim examinem skaleczył się niebezpiecznie przy jakiejś operacji i umarł w przeciągu dwóch tygodni na rękę przyjaciela.

Był to srogi cios dla Stanisława, znowu sam został na świecie. Z początku zamknął się i przez dni kilka nie pokazywał nikomu, niecierpiał ludzi i świata, rad byłby uciec od samego siebie; potem zmienił miejsce pobytu, oddał się zapamiętałe nauce i pracy, własnymi siłami prawie się utrzymując, bo wuj opiekun zbyt mało przysłał z rodzicielskiej fortuny, a do powrotu wcale nie zachęcał. Tak to lat kilka w najrozmaitszych kształtach się gałęziach, składając examina, wspomagał jeszcze

drugich i pisywał do pism różnych rozprawy treści naukowej, a wreszcie, gnany ciągle siłą jakąś niewidzialną, puścił się w podróż, szukając wszędzie towarzystwa uczonych i wyrabiając sobie wśród nich stosunki. Czasem wprawdzie serce rwało się do stron ojczystych, z których jednak żadnego nie wyniósł wspomnienia, gdzie go nikt z utęśnieniem nie czekał, zapragnął czasem gorętszego słowa, serdeczniejszego uścisku, ale wnet tłumił w sobie te porywy młodości i wracał do książki, do pracy. Zwiedził dużo świata, poznał i cenił nauczyły się wielu ludzi, nie stronił już od towarzystwa, bywał wszędzie, poznał więc i kobiety i w osamotnieniu swoim byłby pragnął wyciągnąć rękę do której i powiedzieć: bądź moją na wieki — ale serce nie wybrało żadnej. Po większej części były to lalki salonowe, próżne i lekkie, a choć spotykał także inne, żadnej nie potrafił ukochać. I przestał patrzeć na kobiety i powiedział sobie, że Bóg go od dzieciństwa nie usposobił do kochania, że samotność i praca są jego przeznaczeniem. W takim usposobieniu — zwalczony jednak tęsknotą do ziemi ojczystej, do tej nieznanej strzechy rodzinnej, gdzie pierwszy i ostatni uścisk matczynej odebrał, namawiany także przez znajomych i towarzyszy, pojechał na dwa lata jeszcze na akademię rolniczą, a wreszcie wrócił do swojej dziedzicznej posiadłości. Tu praca czekała go znowu, pracy oddał się też z zapalem, bo ta go uszczęśliwiała, uspokajając burzę młodzieńczej myśli i serca.

Gdy wieść się rozeszła o jego przybyciu, zaczęto sobie udzielać wzajemnie swoich domysłów o nowym sąsiedzie, ale gdy kilka upłynęło tygodni, a nikt go z bliska nie widział, wtedy na dobre już bajki fantastyczne krążyły o nim po okolicy. U nas nie zajmowano się wcale przybyszem; słyszeliśmy tylko od księdza proboszcza, który go odwiedzał w Podgórzu, gdyż pan Sulima zaraz po swem przybyciu przedstawił się zacnemu starcowi jako nowy parafianin, że sobie chwili nie daje wytchnienia i gospodaruje pilnie. W kościele także nie widziano go jeszcze, sądziłam zatem, że jak wielu z młodzieży, którzy czas dłuższy spędzili za granicą, obojętny jest na rzeczy wiary naszej św., ale proboszcz pospieszył znowu z wytłumaczeniem, że p. Sulima bywa na nabożeństwie porannem, nie chcąc się spotykać z sąsiadami, z którymi nie zabrał jeszcze znajomości. Teraz i moja ciekawość została nieco podrażniona. Obraz nieznajomego rysował się w wyobraźni coraz sympatyczniej, zapytywałam samej siebie, czy go też poznam rzeczywiście i kiedy, czy do nas przyjedzie i czy przyjemnym będzie sąsiadem, towarzyszem. Ale w szczęśliwym, swobodnym życiu mojem nie marzyłam nigdy długo o niczem, żyłam teraźniejszością tylko, mało myśląc o przyszłości, bo nie wystawiałam sobie, aby mi ona coś więcej jeszcze dać mogła i nie też nie pragnęłam od niej. Przestałam się więc wkrótce zajmować młodym nieznajomym i dni biegły dalej spokojnie, wesoło i wiosna była w naturze uroczą, rozkoszną.

Pewnego dnia z rana — a pamiętam, miałam wtenczas na sobie jasną, niebieską sukienkę, udałam się, jak miałam zwyczaj czynić kilka razy na tydzień, do wiejskiej szkoły naszej, gdzie tłumaczyłam dzieciom świętą naukę religii i ojczystych uczyłam je dziejów. Spodziewano się mnie i oczekiwano już nawet, nauka zatem rozpoczęła się zaraz. Szkoła postawiona była przy samym trakcie, ale że dzień był gorący, nie można było zważać na hałas i turkot na drodze i okno musiało zostać otwarte. Przypadał właśnie katechizm i tłumaczyłam dzieciom przykazanie miłości bliźniego. Wiedząc raczej z ust drugich, aniżeli z doświadczenia własnego, jak mało ta cnota ma pomiędzy ludem wiejskim wykonawców, jak sobie często złorzeczą i krzywdy wyrządzają wzajemne, chciałam w serca dziecięce wpoić od młodu bardziej chrześcijańskie uczucia, przedstawiając im obraz i wszelkie błogie skutki zgody i miłości. Byłam przejęta własnymi słowami, bo nigdy mówca nie wierzył bardziej w to, co głosił, bo i w mojem życiu miłość była słońcem, naokoło którego krążyły wszystkie inne uczucia, myśli, sprawy i zabiegi moje. Widziałam, że dzieci słuchają mnie z zajęciem, że pojmują, o co mi cho-

działo i nie zwróciłam wcale uwagi na drogę, ani na to, co się działo przed domem. Tymczasem przejeżdżał tam właśnie konno przedmiot ciekawości całej okolicy, pan Stanisław Sulima; gorąco było coraz większe, a on — jak mi sam później opowiadał — zmęczony, gdyż prawie od wschodu słońca ciągle był na koniu, poczuł ogromne pragnienie. Nie namyślając się wcale, zatrzymał konia przed szkołą i wszedł do sieni, prosząc krzątającą się tamże służącą o podanie mu szklanki wody. Podczas gdy dziewczyna wyszła, aby usłużyć nieznajomemu, ten opuścił sieni i stanął przed domem, tuż prawie pod oknem otwartym, a zasłonięty rosnącym tam krzakiem jaśminu, swobodnie powiódł oczyma po wnętrzu szkolnego pokoju. Na pierwszym planie dostrzegł naturalnie nauczycielkę i gniewał się tylko, jak wyznał mi potem, że mi całej nie mógł dojrzeć twarzy; słuchał za to z natężeniem mojego wykładu... i był wzruszony. Spamiętał nawet słowa, które powiedziałam z wielkim podobno zapalem i przekonaniem: „Im bardziej kto kocha drugich, tem szczęśliwszy w życiu“ — a gdy dziewczyna wróciła z wodą, on — zapomniawszy już o pragnieniu, nie obrócił się nawet, tylko stał ciągle, w okno zapatrzony.

— To nasza panienska ze dworu — wyjaśniła służąca — ale pan jej pewnie nie zna?... Ocknął się, postąpił kilka kroków i odrzekł:

— Prawda, moje dziecko, jestem tu obcy i nie znam nikogo — a wypiszy podaną sobie wodę, wcisnął uradowanemu dziewczęciu niezwykle hojny datek w rękę, wsiadł prędko na konia i pędem puścił się dalej.

Po skończonej nauce, gdy się zabierałam do domu, usłużna dziewczyna opowiedziała mi, co zaszło, nazywając nieznajomego pięknym i bogatym panem, dodając zarazem, że jej się widzi, iż to dziedzic z Podgórze. I ja byłam tego pewną, myślałam całą drogę o tem dziwnem, pierwszym spotkaniu, a powróciwszy do domu, opowiedziałam drogiej mateczce z różnemi wesołemi uwagami tę całą małą przygodę. — Jaka szkoda, że nie wiedziałam o jego obecności pod oknem, mówiłam, śmiejąc się, byłabym go wezwała na lekcję katechizmu, któraby mu się pewnie bardzo przydała, byłby musiał siedzieć w ławce i słuchać wykładu o miłości bliźniego, aby nie być takim odludkiem.

— Dziecię moje, odrzekła matka, on pewnie tego nie czyni z niechęci, mężczyzna wreszcie nie samą tylko żyje miłością, a on nie ma, jak ty, kochającej go rodziny, nie ma może przyjaciół, jest sam jeden na świecie i życie nauczyło go samemu sobie wystarczać.

— Prawda, mateczko, on bardzo musi być nieszcześliwy i jeżeli go poznam, będę dobrą dla niego.

Przypadek sprowadził tę chwilę prędzej, aniżeli się spodziewałam.

W tydzień po opisanem zdarzeniu, późnym bardzo wieczorem, bo już o północy, siedzieliśmy jeszcze wszyscy troje w ogrodzie nad ulubionym moim strumieniem, aby po dniu gorącym i parnym użyć trochę chłodu i rozkoszować się jak najdłużej urokiem nocy, jakie bywają zwykle około św. Jana. W chwili, kiedyśmy mieli wrócić do domu, uderzył nas blask jakiś niezwykle i nie trzeba było długiego czasu, aby się przekonać, że pożar wybuchł w Podgórzu, które jak na dłoni leżało przed nami. Nie mogliśmy rozpoznać, czy się paliło, ale też namysł wszelki nie był stosowny i ojciec, nie wahając się ani chwili, oświadczył, że natychmiast sam się tam uda ze swoimi ludźmi. W mgnieniu oka wszystko było gotowe i co konie wybiegły, ruszono w drogę.

Ojciec powrócił dopiero nad ranem i uspokoił nas zupełnie, opowiedziawszy, że dosyć szczęśliwie udała się obrona, gdyż prócz starej, niewiele wartiej stodoły, w której się tylko trochę słomy znajdowało, nie zgorzało nic więcej. Strata to mało znacząca i tylko niedogodność wyrządziła się przed zniwami, bo nowego zboża nie będzie gdzie pomieścić. Długo była obawa, aby się nie zapalił śpichlerz i owczarnia, stąd też pomoc energiczna i czynna była tam konieczną. Ze wsi okolicznych nikt nie przybył na ratunek; śnać, ognia nie dostrzeżono z początku, dopiero może wtedy, gdy ga-

śnać zaczynał; ojciec mój przydał się zatem bardzo, zajął się głównie ochronieniem od ognia budynków przyległych, ale nie mógł się dosyć wydziwić przytomności umysłu i łatwości podawania najsukuteczniejszych środków p. Sulimy przy samym pożarze. Znajomość zrobiona została zaledwie w kilku słowach, nie mówili prawie z sobą, a po szczęśliwie danej pomocy ojciec mój, chcąc uniknąć podziękowań, odjechał spiesźnie. Nie ominęły go jednak ani zapewnienia wdzięczności, ani tak zasłużone okazanie mu szacunku, zaraz bowiem nazajutrz, a raczej tego samego dnia jeszcze po południu — kiedyśmy z mamą zajęte były zwykłą w tym czasie robotą i czytaniem, a ojciec zatrudniał się w swoim pokoju, skromny, zapewne po rodzicach jeszcze, ale dobrze odświeżony kocyk p. Sulimy zatrzymał się przed naszym domem. Młody sąsiad kazał się zaprowadzić prosto do mieszkania ojca, tłumacząc się po nastąpionych pierwszych słowach dziękczynnych, że nie przyjechał z wizytą formalną, gdyż tę pragnie obojgu państwu złożyć później dopiero, gdy jako tako urządzi swe interesa i będzie mógł częściej z miłego korzystać sąsiedztwa. Podczas, gdy panowie rozmawiali u siebie o gospodarstwie i rzeczach poważnych, my, nie spodziewając się ujrzeć gościa w salonie, zwłaszcza, że wyprządz nie kazał i powóz został przed domem, nie przerywałyśmy swych zajęć. Czytałam głośno mej matce i skończywszy pierwszy tom rozpoczętego dzieła, chciałam sięgnąć po drugi, gdy mama oświadczyła, że wolałaby teraz posłuchać mojego śpiewu. Posłuszna miłemu wezwaniu, pobiegłam do fortepianu i nieuczonym moim głosem zaśpiewałam z Halki:

Gdyby rannem słońkiem
Wzlecieć mi skowronkiem,
Gdyby jaskółeczką bujać mi po niebie,
Gdyby rybką w wodzie, Jaśko mój, do ciebie....
Do ciebie....

Śpiewając, nie słyszałam wcale, że ktoś wszedł do drugiego pokoju i zbliżał się do salonu, dopiero szmer u drzwi i poruszenie się mej matki z kanapy, zwróciło moją uwagę. Spojrzałam i zobaczyłam przed sobą śmiejącego się ojca, a przy nim wysoką postać nieznajomego. Śpiew skończył mi na ustach w połowie wyrazu, zarumieniłam się ogromnie i szybko wstałam od fortepianu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Disraeli — Lord Beaconsfield.

Wspomnienie o pracach jego literackich.

Gdy Anglia cała pod wrażeniem śmierci wielkiego męża stanu ściśle rozbiera życie i czyny jego — i my zamierzamy się podzielić z naszymi czytelnikami, choć niektórymi szczegółami tego życia. Disraeli — Lord Beaconsfield; oba te nazwiska, obejmujące jedną osobę, przedstawiają utalentowanego pisarza i znakomitego męża stanu. Pomówimy o pierwszym, kiedy to wystąpił najprzód pod nazwiskiem rodowem, Disraeli, zanim zdobył zasługami na polu politycznem tytuł lorda, a z nim nazwisko Beaconsfield. Angielscy krytycy pozostawiają przyszłości rozstrzygnięcie zagadki, o ile rozgłos jego, jako autora, ma rzeczywistej wartości, a o ile podniesiony został wysokim, politycznem stanowiskiem. Dzisiaj dość im na tem, że w świecie literackim XIX. wieku sława jego autorska zapewniła mu pierwszorzędne stanowisko.

Beniamin, później lord Beaconsfield, urodzony r. 1805, był synem Izaaka d'Israeli, pilnego pracownika w literaturze, autora znanego dzieła „Ciekawości literackie“ (Curiosities of Literature). Na kilka dni przed śmiercią lord Beaconsfield temi słowy opowiadał lordowi Barington o urodzeniu swoim: „Ojciec mój nie był bogatym. Mieszkał w Adelphi, a że posiadał ogromny zbiór książek,

zapełnił niemi wszystkie pokoje, nawet ten, w którym ja się urodziłem; przyszedłem więc na świat w bibliotece.“ Ojciec d'Israeli nigdy nie był się rzekł wyznania Mojżeszowego, lecz wiara jego od dawna była zachwiana i nie przeszkadzał synowi w przyjęciu chrztu, co nastąpiło 1817 r. Ojcem chrzestnym był mu Samuel Rogers, sławny poeta angielski. Pierwotne nauki odebrał młody Benjamin w prywatnej szkole w Winchester; następnie oddano go do pastora Unitariana w Walthamstow. Musiał być jeszcze bardzo młody, gdy pracował w biurze u jednego z plenipotentów starej żydowszczyzny w podrzędnej roli pisarka, gdyż zaledwo skończywszy lat 20, zaniechał prawa i przerzucił się do literatury; niewątpliwie w chęci, aby tą drogą wcisnąć się w świat szerszy, zajaśnić talentem i może nawet odegrać rolę na polu politycznym. A miał do tego silny, wrodzony pociąg, rozbudzany przez ludzi, otaczających go za lat dziecinnych i pierwszej młodości. Dużo przebywał jako młodzieniec w towarzystwie uczonych, „którzy nie dzielili namietności i uprzedzeń angielskiego polityczno-socjalnego życia“ mówi sam w przedmowie do swej powieści, wydanej 1870 r. „Przyjmowałem zapatrywania wręcz przeciwne tym, co zwykli podówczas zwyciężać, szczególnie w rzeczach, dotyczących się naszej ojczyzny! Jak oligarchia została zastąpiona królestwem, a ciasno myślący bigoteryjni fanatyzm mógł kwitnąć w imię wolności religijnej, było to dla mnie długo niezrozumiałem, choć kwestyie te zaciękały mnie bardzo wcześniej, a co mnie najwięcej zajmowało, nawet jeszcze jako chłopca, to zasady i spory naszych stronnictw politycznych.“ Rozmowy ojca i uczonych jego przyjaciół mogły rzeczywiście wpłynąć na młody umysł i usposobić go do podobnych rozmyślań, a nawet nadać mu polityczne poglądy, które nietylko miały dlań wartość, ale najlepiej mogły mu jeszcze posłużyć do zjednania sławy apostoła nowych idei. Stary d'Israeli pracowitością więcej, niż geniuszem, zyskał nazwę uczonego i miejsce wśród mężów wiedzy, lecz zarówno on, jak Samuel Rogers, rozwijając umysł młodego chłopca, podniecali w nim próżność i żądę chwały, naturalną zresztą w budzącym się geniuszu, jakim był Benjamin.

W takich warunkach, ukazała się pierwsza powieść młodsze Disraeli'ego: „Vivian Grey“, która od razu podbiła w Anglii cały świat literacki, towarzyski i polityczny. „Vivian Grey“ — mówi sam autor 1870 r. w przedmowie do drugiego jej wydania — „jest przede wszystkim pracą niedojrzałą, dla której w czterdzieści cztery lata po jej pierwszym ukazaniu zmuszony jestem prosić o łaskawe względy czytelników.“ Wiedział znakomity lord, że młodość jego praca ciekawie będzie czytana i to go zapewne skłoniło do wydania raz jeszcze tej powieści, która, gdyby nie była dziełem tak znanego męża stanu, pomimo iskier geniuszu, w naszych czasach mało znalazłaby czytelników. Jako utwór wielkiego polityka, inaczej ją osądzono i oceniono i nie dziwnego, że powtórnie stała się popularną. Choć nie można zapewnić, iż autor sam siebie przedstawić zamierzył w obrazie Vivian Grey, to jednak dopatrzeć nie trudno, że zapożyczył mu własne uczucia i pragnienia. „Jedną z pierwszych zasad p. Vivian Grey jest ta,“ czytamy w powieści, „że przy silnej woli wszystko jest możliwe. Jeżeli ludzie ogólnie dokonali dotąd za mało, jeżeli nie spełniają przypadającego im zadania, to przede wszystkim z braku fizycznej i moralnej odwagi.“ Vivian Grey wie nareszcie, że jest w świecie ktoś, kto nie jest słaby ani na ciele, ani na duszy i pewny siebie, nie wątpi, że przyszłość jego będzie jak najświetniejsza. Jeżeli ambicyja i pewność siebie Viviana Grey nie były odaniem uczuć Disraeli'ego, to niezawodnie wkrótce potem uczucia te zawładnęły nim całkowicie. „Lekceważenie ludzi to najlepsza droga do rządzenia ludzkością“ było godłem Viviana Grey, a zarazem i godłem Disraeli'ego, jak twierdzą jego biografowie. Jedną z osób występujących w tej powieści mówi: „Kaź im drzeć przed sobą, a będą ci całowali ręce. Nie ma oszustwa, ani nikczemności, którychby polityczne stronnictwa nie były zdolne — w polityce nie ma honoru.“ Może miał także siebie na myśli, kreśląc słowa,

które mówi do Viviana dama, działająca w tej powieści: „Jesteś młodym awanturnikiem, istotą, która rządzi wszechrzeczą za pośrednictwem własnego geniuszu, lekceważąc wszelkie następstwa, prócz — własnego powodzenia. W najskrytszym zakątku twej duszy wznosi się ołtarz z wizerunkiem, przed którym chylisz się z uwielbieniem, a wizerunek ten nie przedstawia nikogo innego, tylko ciebie!“

„Książęta? panie?“ — miał zawołać starszy d'Israeli, gdy mu powiedziano, że syn jego napisał powieść, w której przedstawia siebie w towarzystwie książąt i reszty arystokracji: — „Cóż mój syn wie o książętach? nie widział on z nich żadnego.“ Jeżeli jednak młody Disraeli nie znał ich poprzednio, to wkrótce po wydaniu „Vivian Grey“ zapoznał się ze znaczną ich liczbą. Powieść świeżo napisana uczyniła go ulubieńcem Lady Blessington i hrabiego d'Orsay i szybko stał się osobistością najbardziej pociągającą w towarzystwie ich otaczającym. Wszyscy podziwiali jego dar wymowy, a w czasie tym wykwinęli eleganci mało kto śmiał się z jego nadzwyczajnego upiększania i tak pięknej rzeczywistości twarzy i postawy. „D'Israeli, pisze Amerykanin N. P. Willis, który go w tym czasie spotykał u lady Blessington: „miał najpiękniejszą twarz, jaką kiedy widziałem. Oko jego było czarne, z wyrazem śmiejącym się, jakby gotującym zasadzkę. Usta ożywione jakąś ruchliwą, niecierpliwą drażliwością, a gdy je otwierał, by wyrzucić potok słów pięknie dobranych, przybierały charakter szyderstwa, godnego Mefistofelesa. Gęste, kruczono-czarne kędziory wdzięcznie zdobiły mu głowę; po prawej starannie były zaczesane, po lewej stronie zacięły twarz do połowy, sięgając aż do kołnierza. Wyborowe trzewiki z cienkiej skóry, białe pończochy z czarnym sznurem i kutasem, mnóstwo łańcuchów na szyi i w kieszeni tem wybitniej wydobywały piękność jego postawy.“ — „Wiele lat temu, prawie trzydzieści“ pisze p. Madden, biograf Lady Blessington, kreśląc pochwalną jego krytykę z 1854 r. „często spotykałem p. Disraeli w Seamore place, a już wtenczas nie potrzeba było mieć ducha wieszczego, aby przejrzeć, że daleko zajdzie w życiu politycznym. W liczniejszym towarzystwie bywał ostrożny, milczący i baczny. Aby wywołać w nim zapal, zbudzić ową władzę uroczego daru rozmowy, zwykle potrzeba było przedmiotu mniej pospolitego, ale i wśród największego ożywienia nie przestawał się liczyć z każdym słowem. Z niezrównanym talentem ciskał szyderstwem, a na dowcipie nie zbywało mu nigdy. Kto go nie widział w epoce, o której wspominam, ten nigdy wystawić sobie nie zdoła szybkości umysłowej, z jaką chwycił wszechstronność obrabianego przedmiotu.“

Popularność „Vivian Grey“ zachęciła autora do napisania innych dzieł. Pierwsze z nich, zapomniana już, choć może więcej warta od innych: „Podróż kapitana Popanilla“ (The Voyage of Captain Popanilla) była satyrą na towarzystwo i mężów stanu, napisaną na wzór Swifta, lecz pełną właściwego autorowi humoru i uszczypliwych szyderstw.

Ale nie można ocenić tak samo następnego dzieła: „Młody książę“ (The young Duke), napisanego z mniejszym talentem, dla którego też Disraeli skromnie błaga o wyrozumiałość, ów przywilej, udzielany młodzieńczym utworom. „Młody książę“ bywa wprawdzie dotąd czytany, lecz niewątpliwie tylko dla tego, że jest napisany przez Disraeli, gdyż zaprawdę lepiejby było dla sławy autora, gdyby zapomnieć chciano o tej jego pracy. Charakterystyka młodzieńczego, lekkomyślnego wieku często jest tam oburzająca, a nauka moralna tak subtelna, iż zwykli śmiertelnicy dopatrzeć się jej niezdolni. „Podróż Popanilla“ została wydana r. 1828 w jesieni; „Młody książę“ wiosną 1829 r.

Około tego czasu Disraeli wybrał się w podróż na wschód. Czas dłuższy zatrzymał się w Konstantynopolu, zwiedził Egipt, Syryę, Jerozolimę i za powrotem r. 1831 wydał dwie nowe powieści, napisane w ciągu podróży pod wrażeniem badań i doświadczeń, zebranych na wschodzie. Pierwsza: „Alroy“, chromy romans z XII wieku, druga: „Cantarini Fleming“, powieść psychologiczna, mająca na celu studia nad rozwojem i tworzeniem się poetycznego

charakteru. W faktach ostatniej nie ma nic wziętego z życia autora, ale jest pełno zastanowień, podszeptów autobiograficznych.

W owym czasie Disraeli mniemał się być także poetą, a owocem tegoż mniemania była „Epopea rewolucyjna” (The revolutionery Epick); pierwsza jej połowa drukowana r. 1834; druga 1864 r. Jak czytamy w przedmowie, myśl poematu powziął autor w okolicach Troi: „Na owem sławnem miejscu, otoczonym grobami bohaterów, u źródła strumyków poezji, myśl moja przykuła się do tej pamiętnej pieśni, którą umieją cenić ludzie wszystkich wyznań i krajów, która stawiała czoło wszelkim okolicznościom i przetrwała długie lata. Mniemając się poetą, może przedwcześnie przeklinam los, że mi się kazał urodzić w epoce mało poetycznej, aż wyobraźnia moja została wstrząśnięta siłą rozumu. Czyż wielkie poemata nie powstają pod wrażeniami wielkich wypadków!? Poecie dość przybrać szatę swej epoki... Na krańcu Azji, z wzrokiem zwróconym ku Europie, od której dzielił mnie tylko Helespont, oblany księżycowym światłem, rozbijającym się o góry, zatopiłem się w myślach — i te potężne lądy zdały mi się jako współzawodnicze zasady rządów, toczące bój o władzę świata! Co? zawołałem, czy rewolucja francuska mniej ważną od zdobycia Troi? Napoleon mniej zajmujący od Achileśa?... Epopea rewolucji czekała więc na mnie.” Po tych chętnych słowach przedmowy następują deklamacyjne, napisane białym wierszem, które bodaj czy najłaskawszy krytyk zechciałby nazwać poezią, a warto zaznaczyć, że pomimo tego Disraeli nietylko mając lat 30, ale i w 60 roku miał się za następcę Homera, Wirgila, Dantego, Milтона i pewny był, że poemat jego, „The revolutionery Epick” zostanie przez świat cały powitany, jako korona nieśmiertelnej poezji. Świat odmówił jednak hołdu poecie, znajdującemu uznanie jedynie w własnym zadowoleniu.

Disraeli równocześnie doznał zawodu jako powieściopisarz. „Contarini Fleming” wydana pod pseudonimem, jakby dla wypróbowania publicznego ocenienia, nie znalazła uznania. Na czas niejaki poprzestał więc pisać. Gdyby powodzenie „Vivian Grey” nie było mu nadało sławy literackiej, byłby od razu szukał jej na innej drodze, tak, jak po obecnem niepowodzeniu przerzucił się na politykę. Może i inne okoliczności wpłynęły na tę nową zmianę, ale nieudana „Contarini Fleming” oznacza początek nowego kierunku w karierze Disraeliego.

(Dok. nastąpi.)

KORRESPONDENCJE „DWUTYGODNIKA.”

Zpoza kordonu, w maju 1881.

Powołana, staję chętnie w rzędzie współpracownic „Dwutygodnika dla kobiet,” gotowa dzielić się myślą własną, również wiadomościami, zaczerpanymi na szerokiej arenie życia społecznego u nas. Prasa rosyjska zamuje się nami coraz żywiej, bada stosunki społeczne i objawy życia duchowego, oceniając mniej więcej trafnie; Szigarin w świeżo wydanej broszurze p. n. „O sposobach zbliżenia się z Polakami” rzuciwszy frazes o stronnictwach politycznych w Polsce, wywołał ze strony naszych dziennikarzy zapewnienie, że u nas żadne stronnictwa polityczne nie istnieją, że mimo rozdziału kordonami, mimo życia w całkiem odmiennych warunkach, zachowaliśmy zupełną zgodność i jedność w dążeniach na przyszłość, jako i w patriotyzmie na nasze obecne położenie. Jeśli tak jest w istocie, to na jedność takową wpływa niezawodnie piśmiennictwo polskie, które zbliża nas i poznajamia wzajemnie za pomocą korespondencji dziennikarskich.

Programem naszym politycznym, pisze prasa warszawska, jest utrzymanie bytu narodowego za pomocą wyrabiania się duchowego i materialnego, dalszy rozwój pro-

gramu tegoż zostawiając przyszłości i wypadkom, które nam go same ukążą we właściwej chwili.

Azatem wyrabianie się duchowe i materialne jest zadaniem obecnej chwili, wymagającym patriotyzmu i poświęcenia naszego.

Kobiety w pracy tej mogą niezawodnie wziąć szerszy udział, aniżeli niegdyś na polu walk zbrojnych z wrogiem. Tutaj mogą na równi stanąć z mężczyznami!

Niechaj kobieta kształci swój własny umysł i serce, niechaj zdobycze swe przelewa na dzieci i otoczenie swoje, niechaj podwoi starań około gospodarstwa domowego, a odpowie wybornie zadaniu.

Pracując, niechaj myśli, że odbudowywa nietylko byt własny, lecz zarówno byt ojczyzny zachowuje i chroni od zaty, a poczucie użyteczności i wartości osobistej zapłaci stokrotnie podjęte trudy. — Na tonącym okręcie nie wolno nikomu spoczywać w odrętwieniu, my zaś od lat wielu żyjemy na tonącym okręcie, a wy, Wielkopolanki, szczególnie!

„Ci leżą na pół martwi, ów załamał dłonie, a ten się modli, aby śmierć odegnać...” Oto rzeczywisty obraz naszego położenia; na pół martwych leży dużo, modlących się jest mniej znacznie, a najmniej ratujących. Czy do ratujących można zaliczać kobiety te, które dzieci swe otaczają cudzoziemcami, ucząc wszystkich europejskich języków, oprócz własnego?

Czy do ratujących można zaliczyć te, które zamiast pomnażać gospodarnością dochody mężowskie, trwonią je na zbytki, na stroje i przyczyniają się do sprzedaży ojcowizny cudzoziemcowi?

Są to na pół martwe dusze!

Ale dosyć kazania. Choć grzeszących jest sporo u was i u nas, jednakże znajdzie się dosyć takich, którym przy pracy przesłamy: „Szczęść Boże!” Najtrudniej przychodzi utrzymanie równowagi między wyrabianiem się duchowym i materialnym. Najczęściej ci, którzy gonią za chlebem, zatracają ducha, co w końcu zły owoc wyradza.

Widzimy codziennie, jak dzieci rodziców, uganijających się za zyskiem bez wytchnienia, stają się marnotrawcami. Dla czego?

Bo wyrobienie szerszych poglądów na życie, stworzenie duchowych potrzeb było tam zaniedbane w wychowaniu, więc młodzi dorwawszy się do grosza, „chcą go używać.”

Słyszeli oni od dzieciństwa, że rodzice żyli tylko dla nich, pracowali dla nich; dla czegoż mieliby to czynić, jeśli nie dla tego, aby dzieci używały owocu ich pracy.

Rodzice zapomnieli o obowiązku względem własnego ducha, względem kraju i społeczeństwa, skądże dzieci mają o nim wiedzieć? — Używają grosza, póki go starczy, a potem co?

Nie potrzebujemy odpowiadać; każdemu z czytelników staną przed oczy tysiączne przykłady, starczące za odpowiedź.

Oto też zapewne jeden z powszechnych u was powodów ruin majątkowych, choć trosk i starań o zachowanie bytu materialnego zaprzeczyć wam nie można.

Obok tego zadania zasadniczego, przed kobietami stoi jeszcze drugie, uboczne. — W dawnych czasach polskich niewiasty były pożytecznymi pracownicami w domu, a zasługami swymi zyskały powszechny szacunek mężczyzn.

Później zepsucie obyczajów uczyniło kobietę zabawką salonów i spowodowało lekceważenie, do dziś na nas ciężące. Niemile to, ale prawdziwe; miejmy więc odwagę, odsunawszy obłok kadzideł pochlebnych, powiedzieć sobie prawdę. Przed pół wiekiem dzieci chowały się z czeladzią, lub na folwarkach u ekonomów, a matki jeździły na bale, kuligi, albo podróżowały za granicą. — Dziś odmieniło się wiele na korzyść, lecz potrzeba jeszcze dużo pracy, aby kobiety odzyskały dawne stanowisko w pojęciu mężczyzny. Taki więc jest obecny program działania narodu naszego? — Ocknąć się z martwoty i pracować, jak kto umie i może.

Ocknięcie to u nas staje się coraz widoczniejszym. — Szybko biegnące po sobie wypadki polityczne, wywołały pewien stan wyczekiwania, a dziennikarstwo rosyjskie pełne nadzieje, rozpisując się o prawach, należnych Polakom i o sposobach pojednania nas z Rosją. Lecz le-

że naród nauczył się liczyć na siebie przede wszystkim, własnymi siłami stwarzać instytucje zbawcze, bez oglądania się na pomoc rządową.

Kobiety nasze nie zostają w tyle w tym pochodzie. Znajdujemy pożyteczne pracownice na każdej niwie, w literaturze, w nauczycielstwie, w rzemiosłach każdego rodzaju, w kantorach handlowych, a nawet na niektórych urzędach, jako to: przy pocztach, lub w zarządzie szpitali; nadto mamy jednego lekarza-kobietę.

W rodzinach mniej zamożnych panienki zarabiają choćby na własne potrzeby daniem lekcji, wyrobem pończoch, kwiatów, lub pudełek. Zamożniejsze nawet garną się do pracy dla rozrywki, dla stworzenia sobie celu życia. — Warszawa pod tym względem przedstawia ciekawe zjawisko; wszyscy uczą się i pracują, zarabiając, a zarobione pieniądze wydają na naukę i przedmioty wyrobione przez innych, stąd ciągła wymiana kapitału, stąd mimo drożyzny ogromnej ludzie ubierają się i bawią. — Na wsi nie może to istnieć, tutaj najwięcej działała można oszczędnością.

Na wsi, gdzie tyle rzeczy zmarnować się może bez dozoru, czujność i oszczędność stanowi ważny wydział kobiecy, gdyż produktywność gospodarstwa niewieściego bywa niewielką przy panującej u nas od niejakiego czasu wysokości cen zboża i kartofli.

Tak nazwane „Panie chrześcijańskie“ w Warszawie odgrywają także nader piękną rolę, lecz o nich pomówimy później obszerniej.

A. M.

Lwów, 2 maja.

Ile razy z obowiązku sprawodawcy biorę pióro i przebiegam w ogóle cały szereg faktów, które mam podać, zawsze robię ścisły rachunek z programem „Dwutygodnika“ i na pierwszym planie stawiam pracę kobiet. Obawiam się, czy nie za mało odpowiadałam temu warunkowi, lecz zaraz znajduję tłumaczenie, że wina w tem chyba, iż zakres pracy kobiet u nas dość szczupły, a i życie w ogóle dość idzie leniwo. Wszystkiemu winna polityka, która pożera siły i zdolności, a zaprzagłszy raz kogo do swego rydwanu, nie puszcza go z swej władzy i zajmuje całkowicie tak, że ten zapomnieć musi o sztuce, nauce i życiu. Rzecz naturalna, iż w takiej polityce chwili obecnej panie udziału brać nie mogą i nie biorą, gdzie wszakże polityka sięga przeszłości, tam niezawodnie znajdują kobiety pole choćby najdrobniejszej pracy. Uszanowanie naszej przeszłości, przechowanie jej w gorącym wspomnieniu i szczepienie dalej tej czci dla niej to piękne zadanie, które matki spełniać powinny i spełniają. Jeśli potraciłam o politykę, która słusznie z „Dwutygodnika“ jest wykluczona, to dla tego jedynie, by zwrócić uwagę na tę ważną okoliczność, że kobiety nie zajmując się nią czynnie, są wolne od stronnicztwa, a tem samem stanowią w rodzinie najpewniejszy materiał pedagogiczny, który w dziatwie zaszczepli zdrowe i uczciwe uczucie miłości ojczyzny. Ze się dotąd swemu posłannictwu nie sprzeniewierzyły, tego dowody w każdej niemal znajdują się rodzinie.

Najpierwszą pracą naszych pań, pracą, która jest dowodem, że są gorliwe i ochocze, gdzie idzie o uświęcenie wspomnień z naszych dziejów z dobrej czy złej doli, są makaty historyczne. Pierwsza, już gotowa, zdobi ścianę katedry w Presbiterium nad stalami, poświęcona uroczystości 2go maja. Wykonanie tej makaty zajęło czas od 12 czerwca 1879 roku do maja r. bieżącego. W samym środku znajduje się herb Polski, Litwy i Rusi, a dokoła, na niebieskim tle 32 herbów ziem polskich z odpowiednimi podpisami. Dalej idą wizerunki królów, których jest dwanaście, potem sześciu hetmanów i sześciu wodzów z czasów porzoborowych. Wszystko to przeplatane i okolone arabskimi, których jest 16 i bukietami, co razem stanowi sto dziesięć części. Szczegóły te mogą dać miarę wielkości makat. Będzie to pamiątka piękna i droga sercom naszym, a wartość jej cenić się będzie tysiącami wspomnień.

W świecie artystycznym minął ostatni sezon powodzenia. W jesieni i zimie wszystko garnie się do teatru, nie patrząc prawie na afisz; — dziś nawet trzykroć zwię-

kszony format afiszu i kolorowe litery nie zwabią nikogo. W śliczne dni majowe każdy spieszy do ogrodów i woli słuchać lichej muzyki żydków, niż ziewać w teatrze, tem bardziej, że scena nasza straciła nagle wiele. Ładnowski chory i nie ma nadziei rychłego powrotu; panna Wisnowska, choć nie gwiazda, posiadała obszerny repertuar i więcej jeszcze znaczącą sympatją publiczności; dawniej jeszcze opuściła nas pani Zimajerowa, tak, że dziś nie ma ani jednej artystki, któraby mogła zagrać rolę naiwną. Dodajemy do tego, że kilka nabytków z prowincjonalnych teatrów tak często na deskach naszej sceny wystrasza publiczność, że dziwić się nie można, gdy kasa teatralna wykazuje stan dzienny niżej kosztów przedstawienia. Po występach p. Rapackiego, który cieszył się wielkiem powodzeniem, zjawił się we Lwowie — cyrk Krembsera, ażeby rywalizować, nie z sztuką dramatyczną, lecz z kasą p. Miłaszewskiego. Dla tego to w teatrze pustki, gdy właściciel cyrku radośnie zaciera ręce. Dyrekcyja upatrywała ratunek w wystawieniu obrazu historycznego L. W. Lasoty p. t. „Kościszko pod Racławicami“ i — zaledwie przez trzy wieczory zebrała się publiczność tłumnie, aby znów potem używać świeżego powietrza i lubować się widokiem koni.

„Kościszko pod Racławicami“ znany był we Lwowie z doniesień o przedstawieniach krakowskich, a już sama okoliczność, że tam grano go piętnaście razy w zapełnionym od dołu do góry teatrze była miarą niezwykłą. Spodziewano się wiele, domyślano się — zakładano, czy we Lwowie sztuka ta znajdzie podobne powodzenie. Większość przewidywała, że Lwów okaże się chłodniejszym od krakusowego grodu — i stało się, jak przewidywali. A jednak jest to rzecz dziś jeszcze, choć przed dziesięciu laty napisana, niezwykła. Krytyka artystyczna i literacka nie znajduje pola do rozbiórów, bo cóż powiedzieć o dziele, na które składa się siedm obrazów, porywających za serca i wywołujących nieustanny entuzjazm. Każde słowo zwrócone do Polski, każda myśl ją tylko wielbi; jak tu mówić o krytyce, gdy się widzi ludzi osiwiłych ze łą w oku! Autor, wytrawny w tworzeniu efektownych obrazów, umiał zlać w swe dzieło wszystkie momenta najpiękniejsze owej bohaterskiej epoki, w której Kościszko stał się bożyszczem narodu i w nim się wszystkie skupiły nadzieje. Mówiąc o wrażeniach i efektach scenicznych, dość wspomnieć np. scenę przysięgi Kościuszki. Na rynku krakowskim, pod murami starych Sukiennic, wśród tłumów ludu, spokojnym, pewnym głosem wymawia Kościszko słowa przysięgi, muzyka gra pianissimo: „Jeszcze Polska nie zginęła“ — cisza podniosła trwa chwil kilka, potem oklaski uderzają grzmotem i trwają jeszcze dłużej. — Czwartego wieczoru teatr świecił pustkami.

Darujcie, łaskawe czytelniczki, że dziwny skok zrobię — z sali teatralnej przejdę do sali rozpraw sądowych. Przejście rażące — cóż, kiedy w życiu wszystko się tak dziwnie splata; sztuka nie może wyrugować śmieci, których w życiu niemało, nie może upięknąć zupełnie tego, co wykołajone z drogi prawdziwej. karli się na bezdrożach. Przez trzy dni toczyła się rozprawa publiczna młodego akademika, który, wkradłszy się w zaufanie zacnego człowieka, przywłaszczył sobie jego majątek, a dobroczyńcę osadził w domu obłąkanych. Sąd wydał wyrok — sprawiedliwości stało się zadość. Lecz nie o to nam chodzi. W sali rozpraw były galerie przepełnione — kobietami. Mielśmy procesa gorsze, skandaliczne, a publiczność składała się z samych niemal pań; ktokolwiek z mężczyzn miał kartę wstępu, musiał ją odstąpić znajomym paniom, tak koniecznie pragnęły słyszeć rozprawę. Powstawały na to dzienniki, Lam w swej kronice zużył cały zapas dowcipu i złośliwości — nie pomogło nic, dziś powtórzyła się ta sama historia. Smutny to widok, bardzo smutny, bo w teatrze dano dziś tragedję Asnyka „Kiejstut“, która, choć nie znakomita, przecież nie zasłużyła na pustki...

Lecz wróćmy do sztuki.

Koniec kwietnia i pierwsza połowa maja, sprzyjały bardzo koncertom, których odbyło się kilka z powodzeniem. Koncert telefoniczny na korzyść przytuliska św. Zofii za-

sługuje już dla samej oryginalności na wzmiankę. Świetnie powiedział się, pod względem artystycznym prawdziwie mający znaczenie, koncert towarzystwa muzycznego, którego program stanowiła „Athalie” Mendelsohna. Pierwszeństwo zasługi i uznania należy oddać pannie Tellini, lwowiance. Na innych koncertach dał się dwukrotnie słyszeć znany pianista i kompozytor, p. Wilhelm Czerwiński. Osobliwie jako kompozytor jest p. Cz. bardzo ceniony, w dziełach jego jest wiele natchnienia, fantazyi, a nade wszystko twórczości oryginalnej. Obecnie właśnie wyszły cztery jego kompozycje: „Pieśni polskie” do słów M. Romanowskiego: Rolnik podolski, Sztandary polskie w Kremlu i Hymn polski, oraz do pięknej „Piosnki młodego wygnanca” Jana Lama.

Dnia 22 maja ma być otwartą wystawa dzieł sztuki, urządzana corocznie przez tutajsze Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych. Zanim to nastąpi, pomówimy o dziełach młodego artysty-rzeźbiarza, Tadeusza Błotnickiego. Właśnie rozpoczęto w katedrze unickiej św. Jura roboty około ustawienia posągu papieża Piusa IX. tegoż artysty. Kompozycja bardzo wzniosła, odznacza się przede wszystkim szlachetnością i poprawnością rysunku, oraz wspaniałem drapowaniem szat. Twarz natchniona świętością, poza majestatyczną, ręka wznosi się do błogosławieństwa. Myśl sama piękna, wykonanie artystyczne, a technika świadczy o wielkiej staranności. Podstawa i fotel, na którym majestatycznie rysuje się siedząca postać, są wykonane odpowiednio stylowi świątyni (barocco). Nie możemy pominąć, że artysta dał się poznać z kilku prac, o których krytyka artystyczna najpochlebniejsze wypowiedziała zdanie. We Lwowie zdobi studnię na placu Halickim „Świtezianka” jego dłuta; w Krakowie znajduje się obecnie dzieło klasycznego zakroju „Samson”, wynagrodzony pierwszą premią we Wiedniu. Obecnie pracuje p. Błotnicki nad dwoma dziełami, mianowicie nad popiersiem Długosza i premią dla „Tygodnia Polskiego”: „Lilla Weneda”. Jest to płaskorzeźba: medalion, w środku którego umieszczona sama Lilla Weneda, a naokoło sceny z fantastycznego dramatu Słowackiego. Dla prenumeratorów „Tygodnia” będą wykonywane odciski galwanoplastyczne.

Od kilku tygodni otwarte jest muzeum imienia Dzieduszyckich, założone przez hr. Włodzimirza Dzieduszyckiego. W dni, przeznaczone do zwiedzania tych bogatych zbiorów, widać tłumy ludności, cisnące się do otwartych podwoi. Jawnym to dowodem, jak dzieło wielkie cenią. Dotąd otwarty jest tylko oddział zoologiczny, w innych pracują ciągle nad uporządkowaniem, które będzie wzorowem.

Dla świata literackiego zaczyna się sezon najgorszy. Publiczność nie chce czytać, literaci nie piszą, a wydawcy nie spieszą się z wydawnictwami. Najnowszą rzeczą jest spis dowódców, sztaboficerów i żołnierzy polskich, ozdobionych w roku 1831 krzyżem Virtuti Militari. Piękną przedmowę napisał St. hr. Tarnowski.

Koło literackie zbiera się regularnie co dwa tygodnie; na ostatniemu posiedzeniu odczytano poemat Platona Kostecznego na cześć Kalderona. Rzecz istotnie wzniosła, a przytem wionąca tym liryzmem, który w najdrobniejszym wierszu Kostecznego ujmie za serce. „Dwutygodnik” słusznie napisał, że p. K. mało jest znanym. Istotnie poza granicami Lwowa mało o nim wiedzą, a powodem tego jest niezwykła skromność i to, iż p. K. zaprzęgnięty do pracy dziennikarskiej (jest współpracownikiem Gazety Narodowej) niewiele po za jej obrębem tworzy.

Jak stosunki stały się trudnemi, dowodzi upadek firmy p. Karola Wilda, której towarzyszył powszechny żal, jak powszechnym szacunkiem cieszył się jej właściciel.

Trochę popłochu narobiły rozruchy anti-żydowskie nad granicą. — Istotnie przykra to sprawa; wszyscy myślą, jakby jej zaradzić, a rada trudna. Jedna jest tylko pewna, ale długa: szkoła. My tu mamy najlepszy dowód w szkole im. Czackiego, wyłącznie dla żydów. Postępy widoczne są osobliwie w szkole żeńskiej, która może się pochlubić swemi nauczycielkami.

Pierwsze obawy minęły, wszystko wraca do starej dewizy: *Jakoś to będzie!* Z.

Bibliografia.

Chmielowski Piotr. Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Zarys literacki. Wydanie drugie, pomnożone. Warszawa 1881. nakład księgarni Ludwika Polaka. Cena w Poznaniu 3 marki.

Collins Wilkie. Siła przeznaczenia, Armadale, powieść, tłumaczenie z angielskiego, tom I.—III. Warszawa 1881 nakład M. Orgelbranda, druk S. Orgelbranda synów. 3 ruble.

Czesław. Z pieśni Litwina. Kraków. nakł. G. Gebethnera i Sp. druk Czasu 1881. 30 cent.

Deotyma. Rapsody o chrobrym królu, czytane przez autorkę w sali radnej w Krakowie na korzyść pomnika A. Mickiewicza d. 23 lutego 1881 r. (Odbitka z Przeglądu Polskiego). Kraków druk Czasu.

Przyborowski Walery. Niewieście ideały poetów polskich, szkice biograficzno-literackie. Warszawa Gebethner i Wolff 1881. w Poznaniu 4 marki.

Słupski Zygmunt. Sprytny podłotek, obrazek sceniczny w jednym akcie. Warszawa, druk J. Sikorskiego 1830 r. 20 kop.

Starzeński Leopold hr. Gwiazda Syberyi, dramat w 3 aktach i 4 odsłonach. Lwów nakład K. Łukaszewicza. Tarnopol, drukarnia podolska 1871. 40 centów.

Szujski Józef. Odrodzenie i reformacje w Polsce, pięć odczytów publicznych, mianych w zimie r. 1880. (Odbitka z Niwy). Warszawa Gebethner i Wolff. 80 kop.

Kraków Zagrzebiowi, w rodzaju znanych „Ziarna” i „Pars-Murcie” — wydawnictwo krakowskie, na rzecz Zagrzebian, odznacza się bogactwem treści literackiej i rysunkowej. Zawiera 33 rysunków, 5 kompozycji muzycznych, poezje, drobne wiersze, artykuły prozą większe i mniejsze. Razem 52 artykułów. Pomiędzy innymi, spotykamy tam nazwiska: Matejki, Kraszewskiego, Asnyka, Deotymy, Smolki, Koźmiana, Tisota i Mien’a.

RZECZY BIEŻĄCE.

— W Warszawie odbywają się w sali Resursy kupieckiej odczyty z nauk przyrodzonych, w jesieni zaś obiecuja urządzić tamże odczyty z zakresu innych umiejętności z charakterem naukowo-popularnym, aby, przystępne dla wszystkich, były tem pożyteczniejsze.

— Panna Skwarcow z Warszawy otrzymała w Paryżu stopień doktora medycyny. Chwałą ogólnie jej talent i wytrwałość w pracy.

— Dla uczczenia trzechsetletniej rocznicy zgonu Jana Kochanowskiego urządził komitet, zajmujący się wydaniem dzieł tegoż poety, jeszcze w bieżącym roku w Warszawie przedstawienie sceniczne, z którego dochód przeznaczony zostanie na powiększenie funduszu wydawnictwa. Na przedstawieniu odegrane będą: „Odprawa posłów greckich” Kochanowskiego i komedia Piotra Baryki: „Z chłopów król”. Prócz tego ogłasza komitet konkurs na poemat o Janie Czarnolaskim, a najlepszy nagrodzony zostanie wypłaceniem sumy stu rubli i asygnacją na ozdobny egzemplarz. Sędziami konkursu będą panowie: Adam Plug, Ludwik Jenike, Kazimierz Kaszewski, Roman Pleniewicz i Jan Królikowski.

— Czytelnicy nasi zapewne z przyjemnością dowiedzą się o nowem powodzeniu naszych artystów w Londynie, to też spieszymy podzielić się z nimi wiadomościami, zebranymi z ostatnich numerów Athenaeum. „Pani Sembrich (Kochańska) co czwartek występuje w Covent Garden i porówno z panią Albani, primadoną z Canady, zachwyca lubowników śpiewu. Wyjątkowy dar jej głosu zaznacza jej miejsce wśród pierwszorzędných śpiewaczek tegoczesnych. W Sonambuli Belliniego, w roli Aminy, czystość metody i nigdy niezachwiana akuratność wykonania zjednały pani Sembrich (Kochańskiej) jak najgorętsze uznanie publiczności. Pan Reszke zachwycający był jako hrabia.”

W Hugenotach, dawanych w operze włoskiej, pani Sembrich, jako Marguerita de Valois, ogromny wywołała zapal.

Pan Reszke jako St. Bris niewątpliwie był jednym z najlepszych śpiewaków tego wieczoru. Głos jego czysty, gra wysoko inteligentna, z każdej więc roli wywiązuje się zadawalniająco. Pan Mierzwiński, jako Raoul, w scenach dramatycznych niezwykle był wybitny. Wyjątkowej doniosłości głosu zawdzięcza, iż w niektórych ustępach sprawia nadzwyczaj silne wrażenie, w niektórych zaś napotyka trudności niełatwe do przełamania. — Jako Valentine miała wystąpić panna Reszke; dla niewiadomych powodów zastąpiła ją pani Fürsch Madier, śpiewaczka dobrze znana w Niemczech, lecz po raz pierwszy występująca w Londynie. (Prywatnie dochodzi nas wiadomość, że panna Reszke dla cierpienia gardła powróciła na czas niejaki do rodziny).

O pani Modrzejewskiej donosi tygodniowe sprawozdanie Athenaeum: „W tych dniach w Court-Theatre wystąpiła pani Modrzejewska w pięcioaktowej tragedii pana Wills — Juana. — Polska artystka grała rolę bohaterki, a znakomicie wywiązała się z zadania. W scenie, gdy z zazdrości zabiwszy męża, wpada w obłąkanie, trudno sobie wystawić, aby można szła oddać z większą siłą, prawdą, a zarazem artyzmem. Scena jej śmierci niezrównanie jest malowniczą i charakterystyczną.

Sama tragedia „Juana“, napisana wierszem, pięknym jest utworem. Główną jej treścią, że mąż przyjmuje śmierć z ręki żony, którą kochał nade wszystko, a która nigdy nie domyślała się siły jego uczucia.

W **Kołobrzegu** odbywać się będzie od 23 sierpnia do 7 września wystawa przemysłowa i ogrodnicza.

Pomnik z Tańskich Hofmanowej już zapewne w robocie, gdyż J. I. Kraszewski pisze do nas w liście prywatnym: „Restauracja pomnika już zarządzona, bo umyślnie dla tego jeździłem do Paryża. Fundusz na nią zebrał się dostateczny.“

Przypomnienia ogrodnicze na miesiąc czerwiec.

W parku i kwiatowym ogrodzie prowadzić te same roboty, co w przeszłym miesiącu.

Obcinać trawniki, czyścić aleje, kwiaty i klomby.

Bukszpan obcinać po deszczu.

W gwoździkach słabsze pączki obrywać

Lewkonie i fiołki żółte przesadzać w grunt, ocieniac i polewać aż do przyjęcia się.

Tulipany, anemony i ranunkoły zasiewać w skrzynkach.

Drzewa śpilkowe, jeżeli zaczęły wypuszczać latorośle, przesadzać.

Pierwiosnek zaczyna dojrzewać, torebki więc nasienne, rozdzierające się, odejmować i zachować sucho bez słońca, aż do siewu w październiku. Siany w jesieni przesadzać i trzymać w cieniu przez cztery tygodnie.

Hyacynty i tulipany przekwitłe wyciągać ostrożnie w dzień suchy, potem okryć suchą ziemią pod jakim nakryciem, a gdy liść uschnie zupełnie, cebulki oczyszczają się i przechowują w miejscu przewiewnym

Narcyzy, żonkille, tacety, tak samo wyjmują się, ale tylko co lat trzy.

Kwiaty roczne i trwałe, siane w kwietniu, lub w maju, przesadzać w doniczki lub w grunt.

Lewkonie, w maju sadzone, ogracować.

Kamelie po dojrzewaniu młodych pędów wynosić do ogrodu.

Pietruszkę, w lutym posianą, obsypać ziemią z brzoń grzędowych; zrzynać tylko po deszczu, lub wieczorem na noc i zaraz poleć wodą.

Trybulkę z początku miesiąca na nowo zasiewać, aby była do użycia w jesieni; to samo i rzeżuchę ogrodową.

Szczaw i spinak angielski obrzynać z łodyżek nasiennych przy samej ziemi, aby kierki pusiły młode pędy boczne i liście.

Majeran, siany w kwietniu, przesadza się po deszczu w ziemię żyzną, w odstępach od 6 do 8 cali.

Koper, w roku przeszłym zasiany, po wybraniu wykorzystania się; w marcu siany, zbyt gęsto weszły, wyjmują się i suszy.

Treść: Listy z zagranicy J. I. Kraszewskiego. — Smutnemu, wiersz przez Jaskółkę. — Towarzystwo przyjaciół dzieci w Warszawie (Dok. nast.) — Powieść o minionem szczęściu przez * * * (Ciąg dalszy nast.) — Disraeli — Lord Beaconsfield, wspomnienie o pracach jego literackich przez M. S. (Dok. nast.) — Korespondencje Dwutygodnika: Zpoza kordonu, Lwów. — Bibliografia. — Rzeczy bieżące. — Przypomnienia ogrodnicze na miesiąc czerwiec. — Rozmaitości. — Rozwiązanie łamigłówek w nrze 17. — Ogłoszenie.

Lewenda przesadza się na rabaty w odstępach co 6 cali. Macierzanka i szalwia, wychodowane z nasienia, przesadza się na obwódki rabatów co 6 cali.

Cebule letnie, z marca, pleć i przesadzać.

Pory, w maju siane, rozsadzają się po grzędach co 9 cali, uciawszy wprzód nać i główkę.

Rosliny korzonkowe okopywać i niszczyć w nich chwasty; gęsto rosnące przerywać.

Z marchwi wiosennej wyjmować największe sztuki.

Szparagi tylko do św. Jana wycinać.

Najlepsze główki sałat, znaczyć na nasienniki.

Rozpinać wina i szpalery owocowe.

Odlamywać za blisko siebie rosnący owoc.

Obcinać zbyteczne gałęzie.

Rozmaitości.

Sposób przechowania futer przez lato. Najprzód trzeba każde futro dobrze wytrzeć, miotką oczyścić i przesypać grubo tłuczonym pieprzem, kamforą i drzazgami z drzewa sosnowego. Przescieradło, przeznaczone do obszycia futra, trzeba wyprać w szarem mydle, nie płuczac w czystej wodzie; w niem zaszywa się futro i chowa w kufer, który stać powinien w suchym miejscu.

Futra zwykle się chowają w końcu kwietnia, albo w maju.

Dla zabarwiania towarów cukierniczych dozwolone są w Niemczech według rozporządzenia urzędu zdrowia (Gesundheitsamt) następujące barwy: Biała z mąki lub mączki; czerwona — cochenille, karmin, czerwien korzenia marzanny farbierskiej i sok z czerwonych buraków i wiśni; — żółta — szafran; niebieska — indygo; zielona — sok ze spinaku, lub mieszaniny wyżej wskazanych barw niebieskiej i żółtej; brunatna — palony cukier i sok z lukrecyi; czarna — tusz chiński.

Rozwiązanie łamigłówek

w numerze 17 „Dwutygodnika.“

1. **Gołąbki** — 2. **Lokietek** — 3. **Owies** — 4. **Demidow** — 5. **Niebo** — 6. **Emeryt** — 7. **Madera** — 8. **Ubogi** — 9. **Cynamon** — 10. **Hasło** — 11. **Litkup** — 12. **Ezaw** — 13. **Bukowina** — 14. **Nabiał** — 15. **Ananas** — 16. **Missouri** — 17. **Ypsylon** — 18. **Ślizgawka** — 19. **Lazaret** — 20. **Idomeneus**.

Głodnemu chleb na myśli.

Stanisław Poniałowski.

Dobre rozwiązania nadesłały Panie: Antonina Wilczyńska, Halka Bukowiecka, Iza Kierska, Paulina Pajzderska, Jadwiga Silewicz, Marya Werczyńska, w Poznaniu — Anna Chłapowska w Bonikowie, E. Mazur w Ostrowie, B. i A. Sikorskie w Leśnie, Halina Brandowska w Krakowie, Stan. Déras w Nawrze, Z. Ulatowska w Malachowie.

OGŁOSZENIE.

SŁODKIE WINA GRECKIE I HISZPAŃSKIE,

ulubiony napój pań, we wszystkich gatunkach, a mianowicie: Vin de Chypre, Vin Santo rouge, Vin délicieux, Malaga i Madera poleca skład win w komisie **J. Urbankiewicza**, ul. św. Marcina Nr. 1. Cena butelki litrowej 3 marki.